

ODGŁOSY

ROK XX NR 38 (1032)
18 WRZEŚNIA 1977 R
CENA 3 ZŁ



str. 7-8-9-10

PLASTYKA



ANDRZEJ BISKUPSKI
**O TWÓRCZOŚCI
ROMANA ŁOBODY**
STR. 5

Mirostław
Wojalski

KARIERA CZARNEGO KRAŻKA

str. 6

Jednym z paradoksów Ameryki Łacińskiej jest fakt, że stolicą kraju, który w dziejach kontynentu był widownią największej ilości przewrotów, nosi właśnie nazwę La Paz – czyli po hiszpańsku „pokój”. W historii Boliwii – bo o niej mowa – w ciągu 152 lat niepodległości było jednak więcej niepokojów niż u któregośkolwiek z sąsiadów. Miała też Boliwia i ze swymi sąsiadami немало kłopotów. Przez wiele lat toczyła z nimi boje, które przynosiły jej niemal same klęski. Straciła przede wszystkim dostęp do morza na rzecz Chile (w wyniku tzw. Wojny o Pacyfik w latach 1879–1883, w której wprawdzie miała za sojusznika Peru, ale nie wystarczyło to do pobicia Chilijczyków). Jeszcze wcześniej, bo w 1867 r., z dwu stron niemalże kawałki terytorium Boliwii zagarnęła Brazylia. Nawet i Paragwaj porwał się na słabego sąsiada, odbierając Boliwii rejon Chaco nie tak dawno temu, bo w 1938 r.

TRWAŁY POKÓJ W LA PAZ?

STR. 12

JERZY WITCZAK

SZCZĘŚCIE RODZINY

Idea świadomego macierzyństwa i ojcostwa, idea planowania rodziny w Polsce ma wieloletnią tradycję. Była ona dyskutowana i propagowana przez postępowych działaczy społecznych jeszcze przed II wojną światową. Przypomnieć chociażby, głośną w latach trzydziestych kampanię publicystyczną Tadeusza Boya-Żeleńskiego, domagającego się uwolnienia kobiety od niepożądanego ciąży i przyznania jej prawa do decyzji o posiadaniu dziecka. Prowadzona wówczas walka o zmianę warunków społecznych bytu rodziny i zmianę ustawy o zakazie przerwania ciąży została przegra-

na. Jednakże rzucona przez nią postępowo idea planowania rodziny zakiełkowała w społeczeństwie. Z początkiem lat trzydziestych następuje organizowanie pierwszych poradni świadomego macierzyństwa, propagujących metody zapobiegania ciąży i szerzących uświadomienie seksualne. Poradnie takie działały w kilku miastach, między innymi w Białymstoku, Łodzi, Krakowie, Warszawie. W roku 1934 odbył się w Krakowie Zjazd Towarzystwa Krzewienia Świadomego Macierzyństwa i Reformy Obyczajów, poświęconej regulacji urodzeń i reformy moralności.

3

TADEUSZ SŁUPECKI

SPRAWA MAJORA KIRSZA

4

HENRYK RUDNICKI

WYPISY ŁÓDZKIE



15



Foto: Archiwum

JERZY WITCZAK

SEKRETARZ GENERALNY POLSKIEGO TOWARZYSTWA PLANOWANIA RODZINY

SZCZEŚCIE RODZINY

Dalszy ciąg ze str. 1

Ruch planowania rodziny w świecie ma jeszcze starsze tradycje. W roku 1881 powstała w Amsterdamie pierwsza Klinika Zapobiegania Ciężarze. W roku 1921 rozpoczęła działalność Klinika Regulacji Urodzeń w Londynie, w którym również w roku 1930 powstało Towarzystwo, noszące w późniejszym okresie nazwę Towarzystwo Planowania Rodziny. W latach 1946—1948 powstał Międzynarodowy Komitet Planowanego Rodzicielstwa, a w roku 1952 na konferencji w Bombaju powołano do życia Międzynarodowe Towarzystwo Planowania Rodziny (IPPF). Obecnie w samej tylko Europie! ponad 30 krajów (m. in. Polska od 1959 roku) należy do tego Towarzystwa, a na

całym świecie liczy ono ponad 80 krajów członkowskich.

PLANOWANIE RODZINY

Polski ruch planowania rodziny w formie zorganizowanej, opierającej się na koncepcji rodziny jako podstawowej komórki społecznej istnieje od roku 1957, kiedy to powstało Towarzystwo Świadomego Macierzyństwa noszące od 1970 roku nazwę Towarzystwo Planowania Rodziny. Statut Towarzystwa mówi: „Celem Towarzystwa jest kształtowanie świadomości społecznej zmierzającej do zapewnienia trwałości i szczęścia rodziny w socjalistycznym społeczeństwie”.

Opieka nad rodziną powinna więc obejmować w zasadzie wszystkie

podstawowe jej funkcje jak: prokreacja, współżycie seksualne, kooperacja ekonomiczna w sensie produkcyjnym, konsumpcyjnym, funkcja wychowawcza, socjalizująca, funkcja opiekuńcza i ekspresji uczuć w sensie równowagi, harmonii wymiany emocjonalnej, a także zapewnienia wzajemnego bezpieczeństwa i trwałości układu rodzinnego.

Spełniając tak liczne funkcje o podstawowym znaczeniu społecznym rodzina nie może być pozostawiona samej sobie, poza kręgiem zainteresowania lekarzy, socjologów, psychologów, ekonomistów czy prawników.

Polska koncepcja planowania rodziny jest znacznie szersza niż w wielu innych krajach. Wyszła ona bowiem na czoło nie sprawy demograficznej w sensie polityki pro- lub antynatalistycznej — ale rozwinęła szeroki program, który w Statucie Towarzystwa znalazł cytowane wyżej sformułowanie. Regulacja urodzeń — w sensie planowania ich ilości i momentu pojawienia się dzieci — nie wyczerpuje problemu „polskiego planowania rodziny”, a staje się tylko jednym z jego elementów.

PODSTAWOWE ZADANIA

Dominującymi elementami w polityce planowania rodziny w naszym kraju, a więc z punktu widzenia ideologicznego oraz praktycznego są następujące zadania:

— Przygotowanie młodzieży do współżycia małżeńskiego, rodzinnego i seksualnego, a w związku z tym odpowiedni rozwój poradnictwa przedmałżeńskiego i rodzinnego.

— Kształtowanie kultury współżycia małżeńskiego i rodzinnego oraz planowanie rodziny pojęte jako jej świadomy rozwój.

— Prowadzenie działalności oświatowo-wychowawczej i propagandowej na rzecz zdrowia rodziny.

— Inicjowanie i prowadzenie badań nad problemami populacyjnymi, medycznymi i biologicznymi (w oparciu o odpowiednio przygotowane ośrodki naukowe), socjalnymi i ekonomicznymi, które rzutują na zagadnienia planowania rodziny.

Towarzystwo Planowania Rodziny przyjęło te zadania obejmujące całość spraw planowania rodziny za swoje własne, integralnie związane z programem działalności Towarzystwa, które w wielu przypadkach było inicjatorem tych poczynań, szczególnie w zakresie kształtowania modelu współczesnej rodziny i jej funkcji wychowawczych i społecznych.

ŚWIADOME RODZICIELSTWO

Działalność programowa Towarzystwa na przestrzeni 20 lat uległa zmianom i uzupełnieniom zgodnie ze społecznymi potrzebami. W końcu lat pięćdziesiątych najważniejszą sprawą dla Towarzystwa było planowanie rodziny, to jest możliwość posiadania tylu dzieci i w takich odstępach czasu, jak tego pragną świadomi i odpowiedzialni rodzice. W latach tych, liczbę poronień w kraju oszacowano na około 500 tysięcy rocznie, z czego tylko niewiele ponad 100 tysięcy dokonywano w należytych warunkach. Sytuacji tej nie mogła radykalnie zmienić sejmowa ustawa o legalności przerywania ciąży. Trzeba było wówczas podjąć szeroką działalność uświadamiającą społeczeństwo o szkodliwości poronień, stosować poradnictwo w zakresie zapobiegania ciąży oraz upowszechnianie środków antykoncepcyjnych.

Była to pionierska praca Towarzystwa, gdyż ogół społeczeństwa a nawet fachowi pracownicy służby zdrowia nie tylko, że nie byli zorientowani w tych problemach, ale często stali na stanowiskach nieprzychylnych wobec działań organizacji. Nie należały do rzadkości sformułowania, że Towarzystwo pragnie wyludnić nasz kraj stosując nowe metody i środki.

Rozwijając działalność oświatową w zakresie planowania rodziny Towarzystwo podjęło szereg inicjatyw zarówno w dziedzinie szkolenia lekarzy i średniego personelu medycznego, produkcji środków antykoncepcyjnych, jak i działalności wydawniczo-propagandowej.

Uruchomiono dwie własne laboratoria przychodnie specjalistyczne (w Warszawie i Krakowie), które do dzisiaj cieszą się niesłabnącą popularnością w zakresie opieki nad kobietą ciężarną, leczenia niepłodności u kobiet i mężczyzn, poradnictwa antykoncepcyjnego. Ze względu na brak w kraju tanich i łatwych w użyciu środków antykoncepcyjnych uruchomiono w 1961 roku przedsiębiorstwo pn. „Securitas”, które podjęło produkcję mechanicznych i chemicznych środków antykoncepcyjnych dla kobiet. Obecnie, bez mała po piętnastu latach, to małe przedsiębiorstwo jest w dalszym ciągu podstawowym producentem w kraju środków antykoncepcyjnych dla kobiet. Tym bardziej szkoda, że produkcja „Securitasu” nie cieszy się względami Centrali Farmaceutycznej „CEFARM”, która w wielu przypadkach zaopatruje apteki w minimalne ilości lub w ogóle, poszukiwanych przez kobiety środków antykoncepcyjnych, zmuszając je do do-

konywania tego zakupu w aptekach odległych miast lub w sklepach „Pewex”.

Działalność profilaktyczna oraz prowadzenie różnych form oświatowo-zdrowotnych stanowi do dnia dzisiejszego istotny element pracy Towarzystwa, głównie we współdziałaniu z placówkami społecznej służby zdrowia. Uznana popularnością cieszą się wspólnie prowadzone na terenie całego kraju „Szkoły Rodzenia”, „Szkoły Matek”, „Szkoły Ojców”.

Stopniowo w miarę przeobrażeń świadomości społeczeństwa i osiągnięcia popularyzacji pierwotnych celów Towarzystwa rozszerzały się zadania organizacji. Działacze Towarzystwa dostrzegają potrzebę głębszego spojrzenia na sprawę osobistych losów człowieka w umacniającym się systemie społeczno-gospodarczym socjalistycznego państwa, doceniania wartości jaką stanowi dla rodziny oraz rozbudzenie społecznego zainteresowania życiem rodzinnym ze wszystkimi jego warunkowaniami. Na plan pierwszy wysuwa się działalność w zakresie przygotowania młodzieży do życia małżeńskiego, rodzinnego i seksualnego.

WYCHOWANIE SEKSUALNE, PRZYGOTOWANIE DO ŻYCIA RODZINNEGO

Towarzystwo Planowania Rodziny już w początkach lat sześćdziesiątych widziało usługową rolę wychowania seksualnego wobec małżeństwa i rodziny, wychodzącą daleko poza uczenie młodzieży „sztuki kochania”. Celem wychowania seksualnego było i jest zapoznanie młodzieży ze społeczną, psychologiczną i etyczną istotą małżeństwa i rodziny, udowodnienie, że element seksualny, współżycie płciowe stanowi tylko jeden z licznych składników więzi małżeńskiej, składnik ważny, ale nie jedyny. Wychowanie seksualne — w imię szczęścia przyszłej rodziny i małżeństwa — ma przygotować młodzieź do zrozumienia poważnych obowiązków i długów moralnych, jakie człowiek bierze na siebie wchodząc w związek intymny lub zawierając małżeństwo. Poczynania Towarzystwa na polu wychowania seksualnego wywołały duże zainteresowanie społeczeństwa i władz oświatowych. Już w latach 1961—62 działacze Towarzystwa rozpoczęli bezpośrednią pracę wśród młodzieży. Duże doświadczenia na tym polu mają działacze łódzkiego Oddziału Towarzystwa Planowania Rodziny, którzy dzięki bezpośredniej współpracy z Kuratorium Okręgu Szkolnego m. Łodzi, już w roku 1961 doprowadzili do realizacji w szkołach średnich na terenie miasta program: „Wychowanie seksualne, walka z alkoholizmem, nikotynizmem i chorobami wenerycznymi”. We współpracy z socjalistycznymi związkami młodzieży Oddział Łódzki TPR przeprowadził wiele akcji oświatowych z zakresu wychowania seksualnego wśród młodzieży Uniwersytetu Łódzkiego i Politechniki, a działacze Towarzystwa współpracują na co dzień z Młodzieżową Poradnią Rodzinną przy ZL ZSMP i często „obsługują” Młodzieżowy Telefon Zaufania. Przyjmując generalnie założenie, że wychowaniem seksualnym młodzieży powinna zająć się przede wszystkim szkoła, Towarzystwo już od wielu lat, w porozumieniu z władzami oświatowymi prowadzi dokształcanie czynnych zawodowo nauczycieli oraz młodzieży uczelni pedagogicznych. Staraniem Towarzystwa ukazało się ponad milion egzemplarzy wydawnictw z zakresu wychowania seksualnego, w tym 60 tysięcy dla nauczycieli i rodziców oraz 400 tysięcy dla młodzieży. Od kilku lat (z uwagi na brak papieru) tak potrzebna działalność wydawnicza Towarzystwa jest minimalna. Szkoda, gdyż żadna prelekcja i najlepszy zestaw przeźroczny nie zastąpi w tej często jeszcze „wstydlivej i intymnej działalności” dobrej książki czy broszury z tego zakresu, którą można spokojnie przeczytać i wyciągnąć właściwe wnioski.

Ministerstwo Oświaty i Wychowania w roku 1973 wprowadziło do programów szkół ponadpodstawowych fakultatywny przedmiot „przysposobienie do życia w rodzinie socjalistycznej”. Towarzystwo współdziałało przy opracowaniu programu nauczania tego przedmiotu, a obecnie uczestniczy w przygotowaniu kadry pedagogicznej oraz recenzowaniu i opiniowaniu podręczników dla nau-

czycieli.

W celu wzbogacenia teorii polskiego wychowania seksualnego Towarzystwo organizuje seminaria krajowe i międzynarodowe m. innymi: na temat spornych problemów wychowania seksualnego, etyki seksualnej w społeczeństwie współczesnym itp. W seminariach uczestniczy wielu przedstawicieli z ZSRR, CSRS, Rumunii, Węgier, NRD.

PORADNICTWO PRZEDMAŁŻEŃSKIE I RODZINNE

Istotną formą pomocy dla młodzieży a często i dla ludzi starszych w przygotowaniu się do życia małżeńskiego i rodzinnego jest prowadzone

przez Towarzystwo poradnictwo przedmałżeńskie i rodzinne. Poradnictwo to obejmuje również problemy wynikające ze współżycia pary i z rodzicielstwa. Stawia ona sobie trojaki cele:

— Pomoc w podejmowaniu i kształtowaniu ról małżeńskich oraz decyzji i ról rodzicielskich.

— Zapobieganie trudnościom, stressom i konfliktom we współżyciu pary i rodziny.

— Pomoc w rozwiązywaniu konfliktów małżeńskich i rodzinnych. Działalność poradniczą rozwija Towarzystwo poprzez poradnictwo indywidualne i zbiorowe. Najczęściej praktykowaną formą jest poradnictwo zbiorowe, prowadzone przy współdziałaniu Urzędów Stanu Cywilnego, ogniw i instytucji ZSMP i Ligi Kobiet.

Formy tego poradnictwa, określane przeważnie takimi nazwami, jak: przedmałżeńskie spotkania oświatowe, szkoły dla naręczonych, uniwersytety dla naręczonych czy spotkania o zmierzchu — prowadzone są na terenie całego kraju. Społeczeństwo, szczególnie młodzież jest bardzo zainteresowana problematyką tych spotkań, które najczęściej obejmują zagadnienia z zakresu kryteriów doboru małżeńskiego, zapobiegania niepożądaney ciąży, planowania rodziny, kształtowania kultury rodziny, moralności małżeńskiej itp. Oprócz poradnictwa zbiorowego w wielu województwach prowadzone jest poradnictwo indywidualne (często telefoniczne: „Telefon zaufania”). Działalność ta realizowana jest w ramach Poradni Przedmałżeńskich i Rodzinnych TPR oraz dzięki inicjatywie Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej, poradnich działających przy Zespołach Opieki Zdrowotnej. Towarzystwo przez wiele lat działalność wypracowało i upowszechnia model wzorcowej poradni, oparty o założenia poradnictwa stacjonarnego o charakterze społeczno-lekarskim, a więc z udziałem ginekologa, androloga, endokrynologa, psychologa, asystenta socjalnego oraz prawnika. Zorganizowana w 1961 roku Centralna Poradnia Przedmałżeńska i Rodzinna TPR była pierwszą w kraju tego typu placówką. W ramach działalności metodyczne poradnia prowadzi systematyczne szkolenia obejmujące pracowników tego typu placówek z terenu całej Polski.

POTRZEBA UZUPEŁNIANIA WIEDZY O RODZINIE

Działalność Towarzystwa w zakresie rozpowszechniania metod antykoncepcyjnych, przygotowania do życia rodzinnego młodzieży oraz praktyka poradnictwa, wskazywała wyraźnie na brak dostatecznej wiedzy o współczesnej rodzinie polskiej. Sytuacja ta, szczególnie dawała się odczuć w latach sześćdziesiątych, kiedy obserwowano się brak publikacji w tym zakresie, niewiedzę o przemianach i przeobrażeniach rodziny, o jej modelu pożądanym przez różne grupy społeczne itp. W tej sytuacji Towarzystwo widziało potrzebę podjęcia choćby skromnej próby badań w tym zakresie, co umożliwiłoby również oparcie wszystkich dziedzin pracy organizacji na niniejszych podstawach teoretycznych.

W roku 1965 rozpoczęła pracę Ośrodek Badań nad Współczesną Rodziną TPR, który przez szereg lat starał się wypełnić luki w stanie wiedzy o rodzinie.

W działalności Towarzystwa utworzyły się dwa podstawowe nurty: jeden — służący bezpośrednio praktyce, posiadający kształt poradnictwa przedmałżeńskiego i rodzinnego oraz drugi: — skupiający teoretyków zainteresowanych wiedzą o rodzinie. Gromadzoną tę wiedzę głównie w dziedzinach objętych programem działalności Towarzystwa poprzez własne badania, reinterpretację wyników innych placówek naukowych, organizowanie sondazy opinii publicznej, wymianę poglądów między praktykami a pracownikami nauki, konkursów pamiętnikarskich. Niedawno nastąpiło rozstrzygnięcie kolejnego konkursu ZG TPR pod nazwą: „Rodzina, jakiej pragnę”. Wśród autorów prac znaleźli się przedstawiciele różnych generacji, rozmaitych środowisk społeczno-zawodowych, przedstawiający swoje wyobrażenia w zakresie modelu współczesnej rodziny. Te opinie społeczne są bardzo potrzebne dla pracy Towarzystwa.

Realizacja tak szeroko pojmowanych celów i zadań Towarzystwa Planowania Rodziny możliwa jest tylko przy szerokim współdziałaniu z organizacjami społecznymi, szkołą, instytucjami zajmującymi się problematyką rodziny. Działania te łączą wspólny cel. Chęć pomocy rodzinie, kobiecie, dziecku — w trudnościach, jakie nasuwa życie rodzinne. Zajmując się różnymi aspektami życia małżeńskiego i rodzinnego, próbując w miarę swych sił i środków przychodzenie z pomocą rodzinom w rozwiązywaniu sytuacji dla nich trudnych. Towarzystwo chce zaoszczędzić im niepotrzebnych cierpień, pomóc w umocnieniu i osiągnięciu szczęścia rodziny.



W wrześniu 1939 roku pracowałam w szpitalu polowym Dowództwa Obrony Warszawy nr 4 w charakterze pielęgniarki. Często siadywałam przy umierających lub bredzących w malinie. Byli to przeważnie mężczyźni zupełnie młodzi, od 19 do 25 lat. W ostatnich chwilach swego życia, czy w wysokiej gorączce nie przyzywali ojców, żon czy kochanek. Każdy nieomal wspominał lub wzywał matkę.

Zdarzało się, że przyjmowałam na siebie rolę przywoływanej: głaskałam po głowie, trzymałam za rękę, szeptałam „cicho, synku, cicho, jestem przy tobie”. Myślałam wtedy o tych nieznanym mi kobietach, które jeszcze nie wiedziały, że z ich synami jest tak źle, że jeśli nawet przeżyją i wrócą, nie będą już tacy sami, jakimi byli w dniach odejścia, bo otarli się o śmierć i już to samo ich zmieniło.

Nie słyszałam też, aby któryś wzywał Boga na ratunek, chociaż większość stanowili chłopcy ze wsi lub małych miast. Dziwne to było tym bardziej, gdy zważy się, jak głęboko zakorzenioną przecież była wiara tych środowisk, a ich życie związane z tradycją wierzeń religijnych.

Zapytałam o to naszego komendanta, który był nie tylko lekarzem z powołania, ale i — jak zdołałam się przekonać — dobrym psychologiem. Wyjaśnił mi całą rzecz jednym zdaniem: „wojna zabija wiarę w Boga”.

Uderzała mnie także u wielu niechęć mówienia o toczącej się wojnie. Wysłuchując, szczególnie podczas nocnych dyżurów, rozmów, jakie wiodły między sobą, stwierdziłam ich skłonność do wspomnień z przeszłości tak niedawnej przecież, a już tak odległej, do długich opowieści o rodzinnych stronach, o różnych drobnych wydarzeniach, o zabawach wiejskich i pijatykach, o bójkach o dziewczyny... W tych dialogach matki nie odgrywały żadnej roli. Wspominało się przy okazji rozmów o jedzeniu; jaki która piekła chleb, jak przyrządzała kapustę, krupnik albo barszcz. Używali przy tym słów „moja matusia”. Temat jedzenia był zupełnie zrozumiały; wszyscy byliśmy wtedy głodni.

Wkrótce znalazłam już osobiste życie wielu z nich. Niektórzy pytali mnie nawet o zdanie w swoich większych lub mniejszych konfliktach środowiskowych czy rodzinnych. Cenili sobie serdeczne odnośnienie się do ich spraw, uważne wysłuchiwanie tego, co opowiadają. Często prosili też o wyjaśnienie sytuacji wojennej, czym wprowadzali mnie w zakłopotanie, bo któż z nas w tym tragicznym wrześniu rozumiał coś z tego, co się dzieje?

Byli zbyt młodzi, aby troszczyć się o dzieci, których jeszcze nie mieli. Niepokoili się o urodzaje, o drugi zbiór siana, o bydło... Znalazłam się na tych sprawach, we wczesnej młodości byłam przecież związana z wsią. Wyczułi to i tym śmielej wypowiadali się przede mną na ten temat.

Rezonery pytali o sens wojny, o znaczenie obrony Warszawy. To głównie ci z miast. Gdy nie mogłam sprostać tym pytaniami, sama będąc pełną wątpliwości, — odsyłałam ich do komendanta. Do niego jednak wprawdzie nie mniejsze mieli zaufanie, ale mniej śmiałości, mimo że był łagodny i cierpliwy.

Jakże ich mogę zapamiętać! Komu byłam kiedykolwiek bardziej potrzebna? kto miał do mnie większe zaufanie? Kto wierzył nawet w godzinie śmierci, że go przed nią obronie?

Gdziekolwiek są dzisiaj, jeżeli w ogóle są, kłaniam im się z szacunkiem i wdzięcznością...

ZOFIA LORENTZ

W kościach czuli trud piętnastu dni odwrotu i zaledwie wczoraj dotarli do Modlina. Ale słowo wypadło poderało batalion na nogi.

Z twierdzy wyruszyli boczna drogą. Szli nocą w stronę Leszna, rankiem stanęli w przydrożnej wsi. Chłopi wynosili im z komór bochny pachnącego chleba i dzbany świeżo udojonego mleka. Ucieszeni widokiem polskiego wojska, pytali o nowiny. Naraz rozległ się krzyk i major Kirsz dojrzał biegnącą w jego stronę bosą babę.

— Panie oficerze! Panie oficerze! — darła się. — Żołnierze rzną mi kury! O Jezusie, i to swojacji!

Kirsz z niezadowolaniem zmarszczył brwi. Ta troska o kury, gdy

Na koniec stanął i opuścił pistolet. Przez chwilę nasłuchiwał odgłosów zamierającej walki. Ciemność rozrywały coraz rzadsze pojedyncze wystrzały, potem nastąpiła cisza. Dokoła leżały trupy zabitych nieprzyjaciół, część uciekła, resztę wzięto do niewoli. Major zawrócił w stronę wciąż mrocznych, mleczących domów. Kiedy dotarł do parterowego domku, cofniętego nieco od drogi, skrzył ostrożnie w mały ogródek, skinął na porucznika Scisłowskiego, wziął od niego latarkę i oświetlił przed sobą skrawek ziemi. Pośród połamanych jesiennych kwiatów i lodów słonecznika, martwymi twarzami obróconymi ku czarnemu niebu, leżeli żołnierze hitlerowscy. Jeden, z odznakami pod-

rannie. Po godzinie zjawił się, w asyście dwóch podoficerów, młody porucznik Wehrmachtu i zawiązał Kirsza wojskowym samochodem do miejscowego, pustego jeszcze więzienia. Za chwilę zamknęły się za nim ciężkie, żelazne drzwi. Kirsz powiodł wzrokiem po pustej celi. Usiadł na wąskiej, drewnianej przycy, na workowatym sienniku, wypchanym starą tapetą na proch starą słomą.

Po kilku dniach niepewności próbował dowiedzieć się czegoś o swojej sytuacji od żołnierza, noszącego mu posiłki z obozowej kuchni, lecz ten nie umiał mu nic wyjaśnić.

W końcu jednak doczekał się przesłuchania.

— Czy pan wie, o co jest pan os-

lil z pistoletu? Cemu czwartego z nich pan przesłuchiwał, a potem kazal go zabić z karabinu swemu żołnierzowi?

— Ależ panie prokuratorze! — próbował bronić się urażony major. — Pan ciągle to samo! A nasza sprawiedliwość ma dość środków, by z pańskich ust wydrzeć prawdę!

Przesłuchanie nasycalo się napięciem, jak powietrze przed burzą, zmieniło swój charakter. Stawalo się starciem dwóch przeciwstawnych racji, a także dwóch odrębnych historii, dwóch walczących z sobą narodów. Fascynacja tym prawniczym polowaniem, w którym coraz mniej chodziło o sądową prawdę, udzielało się tłumaczowi i protokolantowi. Po-

— Czy pan wie, o co jest pan os-



wojna, dotknęła go niemile. Ale daleko ważniejszą była sprawa wojskowej dyscypliny. Skinął na sierżanta i ten wrócił po chwili z Krzywka, cheralawym żołnierzem-obokobkiem z Pabianic. Major zrugął go za te chłopięce kury i obiecał ukarać po powrocie do Modlina, po czym nakazał dalszy marsz.

Wrześniowe niebo pozostawało wciąż bezchmurne, nie było widać samolotów ani oddziałów Wehrmachtu, chociaż teren przez nie zajęty. Dopiero około południa szpicz batalion ostrzelała drużyna nieprzyjaciela na rowerach. Niebawem jednak rowerzyści podreptali potulnie pod strażą w stronę twierdzy.

Major był rad z tego drobnego sukcesu, od razu poprawił nastroje żołnierzy. Nareszcie są tacy, jakimi byli podczas granicznych walk! A w ogóle to ów wypad za linię frontu na transport wroga, powinien także z ich pamięć wymazać obraz klęski. Piekące gorzycę wspomnienia z pierwszego dnia wojny, widok zdyszanych granicznych strażników, cofających się śpiesznie od granicy, i kluczy wrogich bombardowców, burzących spokojne miasta i wsie...

Do Leszna dotarli przed zmierzchem. Zatrzymali się w niedużym sosnowym lasku, przypadli do wyszczeblonej pożyłki igliwym ziem. Wiatr przynosił niedaleki warkot motorów i odgłosy niemieckich nawałowań. Major podniósł się ostrożnie, przywarł ciałem do sosnowego pnia, podniósł do oczu lunetkę. Mrok jednak gęstniał i Kirsz nie mógł dojrzeć. Co dzieje się w osadzie. Wysłać patrol? Mogłoby się spłoszyć przeważnie. Więc nakazał atak.

Oslaniła ich szybko zapadająca noc. Podeszli do osady cicho, jak polujące drapieżniki. Porucznik Scisłowski, adiutant Kirsza, zapalił na chwilę latarkę elektryczną.

— Die Lampe aus! Zgasz tę cholerną latarkę! Jesteście nam ściągiesz na łeb jakiegoś polskiego lotnika! — usłyszał nagle gęrlawy głos. W jasnej smudze światła dostrzegł szarozielony mundur, nad nim twarz mrużącego oczy szofera, wychylającego się z szoferki wojskowej ciężarówki.

Porucznik strzelił w ten mundur z pistoletu. Z lewej strony odepwał się zaraz jeden z karabinów maszynowych batalionu, a za nim pozostałe. Kirsz przebiegł, zgarbiony, między opuszczonymi przez ludność domami w stronę kościoła, który czerniał w środku osady. Nakazał tam podciągnąć działo. Po chwili tuż przy kościelnym murze utknęła druga ciężarówka, rozbita przez przeciwpancerny pocisk. Jej obsługa bronila się zza auta i za przydrożnym rowem, skąd również nadbiegali żołnierze majora, wybuchaly ciskane przez nią granaty. Na szczęście w kolumnie nie było czołgów. Tylko jedno z aut wyło w noc przeraźliwym jękiem klaksonu. Major nakazał go uciszyć. Działko lupnęło cennie i auto nagle zamilkło.

— Za mną! — poderwał żołnierzy Kirsz.

Długimi krokami biegł w stronę auta. Nagle pod ścianą mijanego, parterowego domku dostrzegli jakiś ruch. Kirsz wyrzucił kilkakrotnie z pistoletu do trzech cztery przyczajonych tam sylwetek w obcych mundurach i dalej biegł wzdłuż słabo bronionej kolumny samochodów.

Myśląc, że i tym razem miał szczęście: wpadł na przyczajonego wroga i wyszedł cało.

oficera, w zimnej dłoni ścisnął pistolet, przy pozostałych leżały zbędne im już na zawsze karabiny.

Kirszem wstrząsnął dreszcz. Jeden moment nieuwagi, a on sam leżałby na miejscu tamtych. Odegnął od siebie tę myśl. Z ciemności nadchodzili już oficerowie jego batalionu. W pobliżu mignęła też chmurna twarz Krzywki, zaraz jednak zgasła się we wnętrzu zdobyczonego samochodu. Major wysłuchał meldunków, rozkazał rozlokować kompanie, gotowe do obrony, z obu stron osady.

Na chwilę przysiadł na jakiejś zbitej z desek, przydomowej ławeczce. Spokój wrześniowej nocy wprawił go w stan półdrzemki. Przypomniała mu się żona, dzieci, Pińsk, w którym pełnił wojskową służbę. Przypomniał mu się także, nie wiadomo czemu, Krzywka. Tak, pomyślał znowu major, ja też jestem tu, jak on, i niechętny. Dlatego, że w koszarach musiałem nieraz dobrać mu się do skóry. I że wiem, iż ten drań na widok wojska wprost wymiotuje...

Kirsz, mrugając powiekami, spojrział na porucznika Scisłowskiego, który wyrzucił się z mroku.

— Panie majorze, czy będą dalsze rozkazy?

— Zaraz, poruczniku, wszystko w swoim czasie.

Kirsz wysłał już do Modlina gońca z meldunkiem o wykonaniu zadania. Zdobył Leszno i przeciął linie transportu nieprzyjaciela. Nim otrzymał ponowny rozkaz, by utrzymać je do switu, do osady wjechały dwa nieprzyjacielskie pojazdy. Pozafrontowa pułapka zatraskiwała się tej nocy wielokrotnie. Kirsz rozkazał zamykać jeńców w jednym z opuszczonych domów, dać im zdobyczonego chleba, konserw i kawy. Swoim żołnierzom, oprócz tych, co strzegli osady, zezwolił skryć się przed chłodem w budynkach.

O świcie od strony frontu nad Wisłą nadjechał patrol motocyklistów. Zbliżali się powoli, nieufnie, jakby wiedząc już o zasadce. Ostrzelali osadę z dala, aby wymacać stanowiska ogniowe i zawrócili. Ale po sobie sunął już, w świetle dnia widoczny wyrażnie, szary czołg. Za nim drugi, trzeci i czwarty.

— Od zachodu też idą czołgi! — meldował gońiec z przeciwnego krańca osady.

Kirsz rozkazał oblać benzyną i podpalić zdobyczne samochody, po czym batalion wycował się w stronę niedalekiego lasu. Do Modlina wrócił z małymi stratami i bronił tam fortu, wysuniętego przez twierdzę, nad którą nadlatywały wrogie bombowce. Jej grube mury kruszyla artyleria, dokoła płonęły wsie. Mimo to fort cznie działało, odgrzyżały się dzień i noc, choć musiały oszczędzać amunicji.

Potem nadeszła wiadomość o kapitulacji Warszawy, a w dzień później Modlina, rozkaz wywieszenia białych flag. I tak major trafił do Działdowa, gdzie polskie koszary zmieniono na jeniecki obóz.

Kirsz walał się po obozie w tłumie oficerów, zgnębioną klęską, niespokojny o los żony i dzieci, pozostałych w domu. Przebywał w obozie już przeszło miesiąc, kiedy wezwano go do obozowej komendy.

— Czy ma pan broń? — zapytał go niemiecki podoficer. Zaprzeczył rdziwo, lecz tamten obmacał go sta-

karzony? — spytał go oficer śledczy, zazwyczaj mężczyzna w wojskowym mundurze.

— Nie wiem. I dziwię się, że od dwóch miesięcy wzięli się mnie bez słowa wyjaśnienia.

— Jest pan oskarżony o to, że podczas działań wojennych rozstrzelał pan czterech naszych żołnierzy.

— To fałsz!

— A pamięta pan nazwę Leszno?

Major ze zdziwienia zamrugał powiekami. Po raz pierwszy ktoś połączył to więzienie z tamym zwycięskim wypadem. I z czterema żołnierzami Wehrmachtu, zabitymi przez niego w walce. W uczciwym nocnym boju, w którym od wieków zwyciężał ten, kto strzelał pierwszy. Już chciał powiedzieć to przesłuchującemu go oficerowi, lecz naraz w nim samym zrodziła się wątpliwość. Na parę chwil ogarnął go niepokój, a jeśli ci zabił obcy żołnierz, przerażeni nocnym atakiem, przywarli w mrokach nocy do tamtego parterowego domu właśnie po to, aby pójść do niewoli? Jak to czyniło z nich wielu? Ale gdyby nawet tak było, romyszał w nagłym buncie, to skąd on, dowódca atakującego oddziału, ogarnięty pasją walki, mógł o tym wiedzieć? Skąd mógł znać ich nastroje i nikomu nie oznajmioną decyzję, jeśli rzeczywiście by taką podjęli? Na to musiałby być jasnowidzem.

Przecież czuli się wtedy w mroku pod ścianą tamtego domku z ogródkiem jak w zasadce, z bronią gotową do strzału. Jeżeli o zabitych nie wiedział nic on, który do nich strzelał, to skąd mógł znać prawdę ów obcy oficer? Powiedział o tym, nie przyznając się tylko do własnych, świeżo w mózgu zrodzonych wątpliwości. Oficer śledczy, uważny i rzeczowy, przecząco pokręcił głową.

— My natomiast wiemy, że rozstrzelał ich pan osobiście. Stali z rękami uniesionymi do góry.

— To nieprawda!

— Jest świadek, który to potwierdzi.

— Żądam konfrontacji!

— Przyjdź i na to czas — odparł chłodno oficer. — A na razie proszę opowiedzieć przebieg wydarzeń, tak jak to miało być według pana.

Kolejne przesłuchanie odbyło się w końcu grudnia. Na miejscu poprzedniego oficera śledczego zasiadł tym razem inny, w asyście dwóch sierżantów. Ten w rzeczowość się nie bawił, toteż kiedy Kirsz nie potwierdził aktu oskarżenia, przytomność odzyskał dopiero w celi.

— Czy teraz pan wreszcie się przyzna? — spytał bez wstępów, po miesiącu, prokurator, który zastąpił w śledztwie obu swych poprzedników.

— Do czego mam się przyznać?

— Ostrzegam pana przed taką taktyką obrony!

W oczach prokuratora nie było już nic z owego chłodnego zainteresowania, wprawdzie tak niewiele znaczącego, z jakim na Kirsza zerkał pierwszy przesłuchujący go oficer. Prokurator także wspomnił o tajemniczym świadku śmierci owych czterech w Lesznie, który jednak z nieujawnionych Kirszowi powodów wciąż nie mógł stawić się na konfrontację. A czterech żołnierzy, przyczajonych w mroczach tamtej wojennej nocy urastali w prokuratorskich ustach do rangi mężczenników.

— Więc czemu pan, Herr Major, — ciągnął z patosem prokurator — trzech z tych bezbronnnych zastrze-

takiwali z pasją prokuratorowi, tłumacz od siebie napominał majora za hardość, protokolant nie notował jego odpowiedzi, obracał w pałcach wiecznym piórem. Kirsz zerkał na nie uważnie, jak na wymierzone w siebie ostrze szpady. I ostrzeliwał się odpowiedziami wszystkim trzem, zaczajonym na niego przy prokuratorskim stole, niczym tamci czterej zabici pod murem tamtego domu. Zapomniał o dawnych niepokojach, o drążącej go w cel niepewności, czy jednak nie strzelił wtedy o ćwierć sekundy za wcześnie. A także o tym, co stałoby się z nim, gdyby to tamci strzeliłi do niego. Ale w tym gabinecie widział to wyraźnie, podobnych skrupułów nie miano. Więc wygarnął to prokuratorowi w twarz, i o tym, że jego, oficera, bito i kopano podczas śledztwa, jakby był wściekłym psem.

— Pan znów bezczelnie kłamie! — wściekli się za stołem prokurator. — Nosi pan oficerski mundur, a kluczy tchórzliwie przed odpowiedzialnością! Pozwala sobie obrazać wielki, niemiecki naród!

— A to? Te poprzetrzące kości? Może to ja sam siebie tak w waszym więzieniu urządzałem?

Major zrzucił z siebie wojskową bluzę i koszulkę, ukazał spod nich pręgi od ciosów i siniaki. Zakwitły nagle na jego obnażonych pierśsiach, plecach i udach, sino-fioletowe plamy. A on mówił do nich z gniewną pasją, zachlystując się z pośpiechu i lykając sylaby. Mówił to, co przed nim w podobnych chwilach mówiło wielu, gniewny i przeciw gwałtowni zbutnowany.

— Wirklich... Rzeczywiście...

Prokurator bąknął to speszone, swych racji nagle niepewny. Odwrócił oczy od majora, spojrzaniem szukał pomocy u tłumacza i protokolanta. Może była to jego pierwsza sprawa przeciw Polakom? W początkach okupacji, zanim nienawistnie do nas nie stała się prawem wszystkich hitlerowskich urzędów? A może wojna i służalczość nie zabili w nim jeszcze odruchów szlachetnego, ludzkiego wstydu? Tego Kirsz nie wiedział. Pamiętał jedynie owo prokuratorskie zmieszanie.

Lysy protokolant, ponagony półgłosem przez prokuratora, wsparł się lokkami na stole i naprędcie pisał protokół.

— Teraz proszę to podpisać! — burknął sucho.

— Ja tego nie podpiszę, póki nie usłyszę tłumaczenia na polski — odparł spokojnie Kirsz. Znał język niemiecki, lecz był teraz gotów żądać respektowania wszystkich należnych mu praw.

Prokurator nagłe spurpurowiał.

— Co takiego? — wykrztusił, hamując wybuch gniewu, już tamtego zmieszania wyzbyty. — Pan ma czelność przeciwstawiać się władzy niemieckiej?

— Niemieckiemu prokuratorowi należy wierzyć! — poparł go usznięty lysy protokolant.

— A polskiemu oficerowi?

Kirsz spytał o to niby ironicznie echo. A w tydzień później przewieziono go do łódzkiego więzienia na Sterlina.

Fragment powieści.



ANDRZEJ BISKUPSKI

NA STYKU ŚWIATA I WŁASNEJ TOŻSAMOŚCI

(O TWÓRCZOŚCI ROMANA ŁOBODY)

Zawsze chyba powinno nas interesować to, jak ktoś myśli, jakie stawia pytania, jakich udziela odpowiedzi. A przy tym mogą to być pytania postawione nie tylko przez niego — i nie tylko jemu stawiane. W takim ujęciu każdy przejaw, każdy dokument, każdy ślad może być równie cenny, jako źródło informacji o kimś i o jego sposobie myślenia — jeśli tylko jesteśmy gotowi zwrócić się w stronę tego kogoś z normalnym ludzkim zaciekawieniem.

Poezja jest sztyrem, sztyrem szczególnie, gdzie nawet błędy artystyczne mogą być równie ważną wskazówką jest to, co wydaje się być nadzwyczajne, udane, co z pokorą przyswajamy sobie, gdyż wzmówiono nam, że jest opatrzone znakiem kulturowym najwyższej jakości. Dlatego nie będę w poniższych uwagach rzucił „gromów” wartościujących — spróbuję natomiast — przeprowadzić wywód usiłujący zrozumieć coś, o czym zakładam, że nie było pisane tak, iżby chciało być przejawem li tylko „literackiego sposobu zachowania się”, lecz że u podstaw owego osobliwego znakowania, jakim jest zapis poetycki, leżała określona autentyczna potrzeba egzystencjalna — potrzeba podzielenia się czymś z kimś lub nawet także — w skrajnym możliwym przypadku — tylko ze samym sobą.

Przedmiotem naszych uwag będą utwory poetyckie ROMANA ŁOBODY; z góry jednak zaznaczę, że będę mógł dokonać zaledwie wyrywkowego przeglądu tej twórczości — co należy rozumieć w ten sposób, że ograniczę się do odnotowania tych tylko jej motywów, które wydały mi się najciekawsze — i to wyłącznie z punktu widzenia ewentualnych pytań, które i mnie samego mogłyby zainteresować.

★ ★ ★

Tomik Rzeźbienie horyzontu — a więc tomik najpóźniejszy w dorobku autora — otwiera wiersz Równanie, który zbudowany jest na opozycji „część — całość”. Opozycja ta zawiera kilka „uszczegółowień”; takich np. jak relacja między „małoś-

cią” a „ogromem” („tak więc i piaskiem by rozliczyć niebo”) czy relacja między „słowami — możliwymi — do wypowiedzenia” a „słowami — zaledwie — wypowiedzianymi”, a więc stanowiącymi jakby tylko część całego możliwego milczenia („niegłód i nieból nieruch i nietrwanie / przymierzyć do upływu słów wypowiedzianych”). — by wreszcie zamknąć się w spostrzeżeniu kończącym wiersz: „przymierzyć jedno życie do całego życia” — które zawiera relację między „życiem — konkretnego — osobnika” a „życiem — w — ogóle” lub życiem gatunku, w skład którego osobnik ten wchodzi.

W każdej z tych opozycji zanotowany jest jednocześnie pewien postulat natury epistemologicznej: pozwolenie na możliwość dokonywania poznawczego przejścia od tego, co wiemy o części, do tego, czego możemy dowiedzieć się o całości.

Jednakże zagadnienie jest subtelniejsze, niżby to wynikało z już zanotowanych spostrzeżeń. Nie chodzi tylko o to, by uprawomocnić postać mówienia o czymś ogromnym, trudnym do zbadania, na podstawie małej próbki czegoś faktycznie przebadanego. Jest tu wpisane również przekonanie, że ogromu całości nie można poznać inaczej jak poprzez wykorzystanie pewnych zminiaturyzowanych postaci tego ogromu. Właśnie w ten sposób zanotowalibyśmy centralny motyw omawianego wiersza — ale w jego swoistości „metodologicznej”: natomiast rozważając rzecz w kategoriach „antropologiczno-aksjologicznych”, trzeba by stwierdzić, że chodzi autorowi o podkreślenie, iż każdy „fragment” powinien być traktowany z taką samą doniosłością jak każda „całość”, w skład której fragment ów wchodzi: „przymierzyć jedno życie do całego życia”. A zasadność poczynionego spostrzeżenia potwierdziłoby również sformułowanie wyjęte z innego wiersza, w którym mówi się m. in., że: „Największa z wszystkich wód, to łaża pod powieką” (Rzeźbienie horyzontu), — i w którym obserwujemy tę samą co powyżej tendencję „aksjologiczną”.

★ ★ ★
Powyższe uwagi notowały strukturę takich sytuacji, kiedy to człowiek występuje w związkach ze światem zewnętrznym i chce te związki wyrazić — gdy więc wychodzi niejako poza siebie, wychodzi poza to, co jest mu stosunkowo dobrze znane, co jest mu dane bezpośrednio. Można by wszelako spytać, jak ukazuje się poecie człowiek wyodrębniony z reszty świata i potraktowany jako osobna całość. Żeby odpowiedzieć na to pytanie, odwołamy się do wiersza Historiozofia z tomu Wspomnienie drzewa. Okazuje się, że tak wyodrębniona całość — wcale całością nie jest: „Te dwie moje / połowy / wcale nie są / całością” — stwierdził poeta.

Znowu więc i tu — i to wewnątrz czegoś, co powinno być potraktowane jako zwarte — pojawia się opozycja, będąca rezultatem bliżej nie określonego podziału dychotomicznego, przebiegającego wewnątrz całości nazywanej tu „sobą”. Obecny przykład jest wiele charakterystyczny: mógłby bowiem dodatkowo przekonywać nas, że nie można było omawianemu autorowi przypisywać poglądu, iżby „całość” mogła być „sumą części”. Przeglądając się zacytowanemu fragmentowi poprzez relację poprzednio rozważaną — a więc poprzez opozycję „części” i „całości” — widzimy teraz, że „całości” trzeba przypisać zawsze pewnego rodzaju nadrzędność nad „sumą części”, części, z jakich się ta całość składa. Arytmetycznie dwie połowy powinny dawać całość — tu jednak (w zacytowanym utworze) dają one mniej. Występuje pewien defekt, brak: mechaniczna suma własności „części” nie wyczerpuje wszystkich własności „całości”. Ale też dzięki temu brakuowi może pojawić się dążenie, akt woli, konieczny i nieustannie ponawiany ruch: „Ten brak równowagi / zmusza mnie / do przedziwnych ruchów / i nagłych podskoków”. Zakończenie zaś wiersza wskazuje, że aczkolwiek jest to ruch, którego źródło tkwi wewnątrz nas, to jednak musi on zmierzać do uzyskania równowagi poprzez ostateczne zetknięcie się nasze z zewnętrżnością: „Na szczęście mam na co upadać” — powie narrator wiersza. Zewnętrzność daje bowiem pewny, twardy punkt oparcia, choćby i negatywny tylko, jako kres upadku. Z czego mógłby wynikać domysł, że zerwanie związków z rzeczywistością zewnętrzną prowadzi na ogół do sytuacji nieopędanych: do dowolności w ustalaniu rzeczowych związków przyczynowych, do swolowego „agnostycyzmu” — o czym przekonuje następująca sytuacja, pochodząca z innego wiersza:

Wtedy przestał rozróżniać czy wyniknął z tego czy to wynikało z niego
(Wspomnienie drzewa)

(Dodajmy dla jasności, że rzecz dotyczy sytuacji — przedstawionej w formie groteski — kiedy to „człowiek opuszczający [zapewne umierający; wiersz nosi tytuł Testament — dop. A. B.] / obrywając resztki nerwów / w odciole” unosił się ponad „szafę doniożkę z kwiatem” i „potrząsał / kikutami swojego istnienia / obrastał powietrzem / kłębił stawał się / śladem”).

★ ★ ★

Z przeprowadzonego już rozpoznania analitycznego wynika, że omawiany autor najchętniej posługuje się „szerokimi” strukturami rozpościerającymi się na cały wiersz; dlatego sędę, że tego rodzaju podejście do tej poezji, gdzie chciałoby się przywiązywać szczególną wagę do pojedynczych sformułowań, zatrzymując się w analizach na redukcji ich znaczeń sprowadzonych do bezpośrednich sensów, jakie niosą — musiałoby prowadzić na interpretacyjne manowce. Sformułowania traktowane w odizolowaniu mogą więc co najwyżej stanowić pomoc w dookreśleniu poprawności ustaleń interpretacyjnych wywiedzionych z szerzej rozwinętych części znaczeniowych tekstu. W przypadku poezji Łobody taką podstawową częścią znaczącą tekstu byłby dopiero cały wiersz, potraktowany jako elementarny układ treściowy. Dobrym przykładem dla powyższego mógłby tu być wiersz-groteska Jedność, który zacytujemy w całości:

Pewien błazen gardząc blichтром i złotem zwykły mawiać
Kiedyś gdy się zaśmieję najgłośniej
pękne na części wiele
tyle ile fałszu jest wokół mego pana
Tego błazna zajęci szukaniem pochlebstw doradcy pańscy

ujrzeli rozbitego jak czasu w nieskromnym rozrzuceniu
Oto ten panie zakrzyknęli który dążył do rozbicia
jedności naszej
(Rzeźbienie horyzontu)

Nietrudno zauważyć, że w wierszu tym występuje opozycja „wielość — „jedność”. W planie odniesionym do organizmu społecznego „wielością” są poszczególni ludzie, wszelako razem brani pod uwagę, „jednością” zaś jest ów organizm złożony z tej „wielości”; „całością” jest więc owa „jedność”, natomiast „częściami” tej „całości” są poszczególni ludzie, owa „wielość”. Tak by wyglądał jeden z planów, w którym funkcjonuje wiersz. Drugim planem byłby ten, w którym za „całość” bierze się osobliwość istnienia danego osobnika (w tym wypadku błazna, który jest „jednością” nie tylko w sensie psychofizycznym, ale również w sensie „jednostki”), za „wielość” zaś bierze się jego rozpadnięcie się, a więc stan, w którym „jedność — jego — jestestwa”. „Jego — całość” rozpięcha się w „wielość — fragmentów”, z których nie złoży się już tej całości, jaką był dawniej, kiedy jeszcze istniał. Źródło dowcipnego rozwiązania puentejającego wiersz tkwi w tym, że zostają tu pomieszane porządki, o których wspomnieliśmy powyżej — tak że to, co brane jest za „całość” (błazen), w rzeczywistości było tylko „częścią”. Ale aspekt „interwencyjny” tekstu sięga głębiej: wiersz jest — jak się wydaje — ośmieszeniem, czy nawet wykpieniem, tego typu pseudo-tłumaczeń zjawisk występujących w życiu społecznym, kiedy to dokonywałoby się niedozwolonej zamiany „części” i „całości” — kiedy więc to, co jest zaledwie „częścią”, braloby się w sposób nieuprawniony za reprezentację „całości”. skrywając przy tym ową nieuprawnioną lub jej zgola nie chcąc w ogóle dostrzegać.

Jeśli zaś wziąć jeszcze pod uwagę wiele instruktywny fragment z *A Dorio ad Phrygium* — ten mianowicie, w którym Norwid powiada:

Atoli nerwy nie są duchem i sercem nie są (...)
Szczegół nieraz potoczny podejmą tak,
Ze się ogółem stawa, ogół natomiast
Fraszka czyniąca...

— to opisana wyżej sytuacja użyłaby dalsze dookreślenie treściowe. Jeśli bowiem jest tak, jak to przedstawia Norwid, że stan nieopanowania intelektualnego, stan „nerwowości”, prowadzi na ogół do nadużyć metodologicznych — które mogą mieć również swoje daleko idące konsekwencje natury epistemologicznej — to tekstowi Łobody trzeba przypisać przynajmniej tendencję do postawienia pewnej interesującej „hipotezy socjologicznej”. Według tej hipotezy, zjawisko „mieszania” ogólności / „całości” / i szczególności / „części”, „jednostkowości” / świadczą powinno o występowaniu „schorzeń” w samym organizmie społecznym, zezwalającym na podobne mieszanie wspomnianych porządków; a jest też ponadto objawem występowania silnych czynników frustracyjnych w tymże organizmie — jeśli zagadnienie odnieść dodatkowo jeszcze do sfery psychologii społecznej.

★ ★ ★

Mówiliśmy przed chwilą o rozpadaniu się całości, jaką była jednostka psychofizyczna człowieka nazywanego tam błaznem; mówiliśmy też wcześniej o potrzebie swoistego ruchu świadomości ludzkiej, która ciągle musi dążyć do równowagi wewnętrznej, usiłując zachować własną tożsamość w swych związkach ze światem zewnętrżnym. Wspomnieliśmy przy tym, że ów świat zewnętrzny musi być uznany za dość pewny / trwały, mocny / punkt oparcia dla owego ruchu. Jednakże oddziaływanie zewnętrzności na nas może mieć również wpływ dezintegrujący. O sytuacji takiej traktuje wiersz Psychosynteza z tomiku *Szósty smak*. Zacytujemy odpowiednie fragmenty:

Czasem wychodzę z domu i wtedy

Pięć lat temu, u schyłku lata, zginał śmiertelnie tragiczną znany łódzki piarsarz i działacz kulturalny, członek zespołu „Odgłosów” — Roman Łoboda. Roman Łoboda urodził się w lutym 1919 roku we Lwowie, zmarł mając lat zaledwie pięćdziesiąt trzy. Był człowiekiem o bardzo wszechstronnych zainteresowaniach — na UI. skończył stomatologię, przed laty studiował w lwowskim konserwatorium. Jako pisarz zajmował się, obok poezji, która stanowiła główny nurt jego literackich pasji, także dramatem, prozą i krytyką teatralną. W piątą rocznicę przedwczesnej śmierci naszego kolegi przypominamy Jego sylwetkę twórczą.

światło przecina mnie na części cząstki które wężą słuchają patrzą i czują nie zważając na mnie
W obawie przed zagubieniem schodzę się wreszcie w tym pokoju o zaslonionym oknie mozolnie składając się przed snem

Czyby więc ustalenia poprzednie wchodziły w nieprzewidywalny konflikt ze spostrzeżeniem obecnym? Czybyśmy więc w opisywanej poezji mieli do czynienia ze sprzecznością, która zezwala na takie potraktowanie świata zewnętrznego, że raz jawi się on jako coś, co jest potrzebne dla zachowania naszej tożsamości, a drugi raz jako coś, co nas dezintegruje i przed czym musimy się bronić, np. uciekając w samotność, a nawet w autyzm?... Jak się wydaje, ujawniona sprzeczność jest tylko sprzecznością pozorną — daje się bowiem rozwiązać następująco.

To, czy potrafimy zachować własną tożsamość, zależy od dwóch czynników: od umiejętności radzenia sobie z różnorodnością świata napierającego na nas z zewnątrz — oraz od umiejętności radzenia sobie z różnorodnością własną. Opanowywanie owej różnorodności byłoby zatem podstawowym motywem podejmowanej aktywności podmiotu, usiłującego przeciwdziałać możliwemu zachwiananiu się jego własnej równowagi psychofizycznej. Można by więc powiedzieć, że aktywność owa jest skoncentrowana wokół takich nastawień, które najlepiej nazwać mechanizmem całościującym lub integratorem. Cytowany ostatnio wiersz wskazywałby zatem na sytuację, kiedy to zachowanie ludzkie jest już pozbawione tak rozumianego, dobrze spełniającego swą rolę, integratora. Nie więc dziwnego, że w tych okolicznościach jedyną ucieczką przed postępującą dezintegracją stawać się musi coraz skrajniejsze izolowanie się przed działaniem wpływów świata zewnętrznego.

Stwierdziliśmy zatem, że rola dobrze działającego integratora staje się fundamentalną dla omawianych tu zagadnień — i to nie tylko w aspekcie rozważanym ze względu na przejawy jednostkowych dążeń do uzyskania własnej, względnie zdrowej, równowagi psychicznej. Z rolą tą trzeba też wiązać te zasadnicze zachowania sensotwórcze, występujące w skali zachowań gatunkowych, gdzie nie chodzi już tylko o utrzymanie względnej homeostazy jakiegokolwiek układu, ale i o to, jakimi dyrektywami, obejmującymi wszystkich ludzi, należy posługiwać się przy realizacji wszelkich działań poznawczych, w szczególności zaś takich, które skierowane byłyby na dogłębne, wyczerpujące i niejako ostateczne rezultaty poznawcze. Jedną tego rodzaju dyrektywę wyraźnie formułuje fragment zacytowany z wiersza *Ars*, który otwiera tomik *Okrągły sen*. Sformułowania zawarte w tym fragmencie traktujemy jako przepis na to, co powinno być uwzględnione w sposób niezbędny, aby uzyskanie pełnej wiedzy o czymś mogło być w ogóle kiedykolwiek osiągalne; postępujemy:

Chcę wyrazić wszystko o jednym
trzeba powiedzieć jedno o wszystkim

Czytelnik łatwo rozpozna, że chodzi tu o preferowanie tak rozumianych w samym punkcie wyjścia podstaw poznawczych, dla których „całościowość” czy „systemowość” byłaby nacelną dyrektywą — zarzem epistemologiczną, jak i metodologiczną — podejmowanych prób artystycznego „opisywania” świata. A nie trzeba przy tym specjalnie podkreślać, że jest to postawa na wskroś nowoczesna.

* Roman Łoboda (1919 — 1972) jest autorem czterech tomików wierszy: *Szósty smak*, Łódź 1959; *Wspomnienie drzewa*, Łódź 1963; *Okrągły sen*, Łódź 1967; *Rzeźbienie horyzontu*, Łódź 1972.



Foto: Archiwum

MIROSLAW ZBIGNIEW WOJALSKI KARIERA CZARNEGO KRAŻKA

Gdy przed stu niemal laty (1879 r.) Amerykanin niemieckiego pochodzenia, Emil Berliner, przeprowadzał udane próby urwalenia dźwięków na płycie gramofonowej, a następnie ich odtwarzania (patenty z 1885 i 1887 roku), zapewne nie przypuszczał, że niepozorny, płaski krążek zrobi tak zawrotną karierę. Już w kilka bowiem lat później płyta gramofonowa była popularnym źródłem muzyki i rozrywki, a rozwijający się dynamicznie, nowo powstały przemysł gramofonowy wprowadzał do rozpowszechniania coraz większe ilości nagrań. Przed 50 laty, w jednym tylko roku 1927, na długo przed śmiercią wynalazcy wyprodukowano w całym świecie łącznie ponad 100 milionów płyt.

Thomas Alva Edison był twórcą rzeczywiście praktycznie działającego fonografu, on pierwszy zrealizował utrwalenie i odtwarzanie dźwięków przy pomocy fonografu, on opatentował działające urządzenie. Fonograf, aczkolwiek był wspaniałym jak na owe czasy wynalazkiem, nie nadawał się do masowego rozpowszechniania. Aparatura składała się z poziomym umieszczonym wałcem o dość dużej średnicy, obracającego się wokół swej osi, a jego powłóczyna pokryta była woskiem. Membrana, na którą padały fale głosowe, zakończona była ostrym ryłcem i przesuwana się po wosku, jednostajnym ruchem od jednego krańca obracającego się wałka do drugiego. Ryłce kresilił na powierzchni wosku bardzo gęstą linię spiralną o zmiennej głębokości. Urządzenie działało jak najbardziej poprawnie, lecz masowa produkcja wałców była nader skomplikowana. Zasiadłość nagrań, nawet niezbyt wielki, zajmował bardzo wiele miejsca. A do tego wałek miał tylko... jedną stronę.

Inaczej przedstawiają się sprawy w przypadku płyty gramofonowej. W urządzeniu Berliner'a dźwięki były i są zapisywane też w postaci rowka, choć o stałej głębokości, jednakowo rowek ten jest nacynany w materiał płaskiej płyty, jako gęsta spirala biegnąca od obrzeża płyty do jej środka (początkowo, krótko, było odwrotnie). Membrana, związana mechanicznie z ryłcem i powodująca poziome ruchy jego ostrza, wywołuje po przeciwnym kierunku przesunięcia wałka. W końcowym efekcie kresiony rowek jest linią „wężykową”. Zmiana płyty, która po prostu leży na obrotowym talerzu niczym nie zamocowana, jest o wiele prostsza niż wymiana wałka w fonografie.

Decydującą jednak porażką poniósł fonograf w momencie opracowania metody tłoczenia („sztanconania”) płyt przy użyciu metalowych matryc uzyskiwanych galwanicznie (przy pomocy elektrolitycznego osadzania warstw metalu na miękkich płytach), co umożliwiło masową produkcję płyt gramofonowych. Oczywiście, możliwe było wykonywanie analogicznym sposobem wałców do odtwarzania w fonografie, ale w praktyce okazało się to procesem trudniejszym i nie dającym zadowalających wyników. Nadal więc każdy wałek nagrywało oddzielnie, a ilość nagranych egzemplarzy zależała właściwie tylko od wytrzymałości fizycznej zaangażowanego do tego celu wykonawcy. Popularni śpiewacy zmuszeni byli z tego powodu powtarzać wykonanie każdej arli operowej czy piosenki od wczesnego ranka do późnej nocy.

Wobec takiej, niegroźnej zresztą konkurencji gramofon konstrukcji Emila Berliner'a, dzięki zresztą swym zaletom eksploatacyjnym całkowicie wyparł słynny fonograf Thomasa Edisona. Odbiorców pociągała łatwiejsza obsługa, producentów zaś znacznie prostsza technologia produkcji płyt i takie były podstawy zawrotnej kariery „zaczarowanego krążka”

plyty gramofonowej. Kariera ta jednak nie była ani szybka, ani łatwa. Dzisiejsza popularność płyty jest wynikiem wieletnietni prac mających na celu podniesienie jej jakości na wyższy poziom techniczny i artystyczny. W momencie bowiem pojawienia się płyty gramofonowej wraz z gramofonem mechanicznym i przez wiele późniejszych lat nie istniał w ogóle problem jakości odtwarzanych dźwięków. Więcej chodziło o dobrą słyszalność utworu niż o jego wartości artystyczne, najwyższym wymaganiem była po prostu zrozumiałość odtwarzanego tekstu. Na zachowanie wierności brzmienia głosu ludzkiego czy barwy tonu poszczególnych instrumentów nie zwracano żadnej uwagi. Już samo to, że mechaniczne urządzenie grało i śpiewało, wystarczało do wywołania ogólnego zdumienia i podziwu. Wprowadzono sporo ulepszeń gramofonu akustycznego, przede wszystkim, aby zwiększyć głośność odtwarzanych płyt, stosowano duże tuby, w niektórych gramofonach wystające na zewnątrz, w innych schowane wewnątrz skrzynki (prod. firmy Pathe — popularnie zwane patefonami). Mimo to jednak gramofony akustyczne dawały niezbyt głośne, zniekształcone i mało wierne, bo pozbawione wysokich i niskich tonów, odtwarzanie dźwięków. Co prawda nie było nawet technicznych możliwości poprawienia jakości nagrań, te możliwości dała w wiele lat później dopiero elektronika. Choć już wynalazek wzmacniającej lampy elektronowej trójelektrodowej — triody (1905 r. Lee de Forest) pozwolił na zbudowanie w 1913 roku pierwszych wzmacniaczy lampowych do urządzeń zapisujących dźwięk metodą mechaniczną, zaś w 1914 wzmacniaczy do urządzeń odtwarzających, to jednak upłynęło dziesiątek lat zanim te urządzenia wprowadziły istotne ulepszenia nagrań płytowych i gramofonów.

Dopiero po roku 1925 zaczęto posługiwać się mikrofonem i przy nagrywaniu płyt nie trzeba już było zbliżać artystów do tuby, zmuszać ich do głośnego grania i śpiewania. Mikrofon przetwarzał drgania dźwięków na prądy elektryczne, a prądy te można było już dowolnie wzmacniać i one to dopiero napędzały ryłce, wycinające rowki w płycie.

Odtwarzanie nagrania odbywało się analogicznie: „adapter” przetwarzał mechaniczne drgania igły poruszającej się w rowku na prądy elektryczne, te zaś, odpowiednio wzmacnione, uruchamiały głośnik.

Starsi wiekiem Czytelnicy, pamiętają może te czasy, gdy w końcu lat dwudziestych pojawiły się pierwsze płyty gramofonowe nagrane tym systemem. Wszystkie one nosiły na swych etykietach dumny napis: „Nagranie elektryczne”. Nie była to tylko czcza reklama, jakoś techniczna nagrania elektrycznych była rzeczywiście wyższa od poprzedzających jej nagrań mechanicznych. Tym niemniej płyty gramofonowe produkowane przed wojną były — z obecnego punktu widzenia — bardzo miernej jakości. Zresztą i inne źródła muzyki np. radiodiodionki też nie przedstawiały sobą tej klasy co dzisiaj, zaś magnetofon nie został jeszcze w ogóle wynaleziony.

Dopiero w latach czterdziestych rozpoczął się nowy etap kariery płyty gramofonowej, wnoszący niepozorny płaski krążek na najwyższy poziom techniczny, a to dzięki... konkurencji właśnie wynalezionego magnetofonu, a także postępowi technicznemu w dziedzinie elektroakustyki, galwanotechniki, a przede wszystkim chemii tworzyw sztucznych. Gdy na horyzoncie pojawił się wróg w postaci magnetofonu, „płytkowcy” przede wszystkim zastosowali go natychmiast do usprawnienia samych

nagrań. Nagranie rejestrowano obecnie na taśmie magnetycznej, którą po odpowiednim przygotowaniu (np. wykaszowaniu usterek, zmontowaniu najlepszych fragmentów, itp.) przegrano dopiero na miękką płytę, zapoczątkowującą proces produkcji matrycy do tłoczenia płyty w dziesiątkach czy setkach tysięcy egzemplarzy. Ale magnetofon był groźnym wrogiem — aczkolwiek cena jego była znacznie wyższa od ceny gramofonu elektrycznego ze wzmacniaczem, miał on dwie niezaprzeczalne zalety: umożliwiał dokonywanie własnych nagrań i — co było jeszcze niebezpieczniejsze — długo grał. Raz założona taśma mogła, w zależności od szybkości przesuwu i wymiarów szpul, grać nawet godzinę. Ten właśnie fakt, najczęściej spędzał sen z powiek wytwórców płyt, które trzeba było zmieniać co 2-3 minuty.

Aż wreszcie producenci płyt mogli odetchnąć nieco spokojnie, gdy w 1948 roku amerykańska firma „Columbia” wypuszcza na rynek pierwsze tzw. „płyty długogrające” (long playing records) z zapisem drobnonrowkowym i dokonując 33 1/3 obrotów na minutę. Czas zapisu w porównaniu z dawnymi płytami (78 obr./min) wzrósł sześciokrotnie.

Aktualnie istnieją trzy zasadnicze rodzaje płyt: płyty o średnicy 1/ cm — 45 obrotów na minutę, czas odtwarzania 1 strony 5-7 minut, płyty o średnicy 25 cm 33 1/3 obrotów na minutę, czas odtwarzania 1 strony ok. 15 do 20 minut, płyty o średnicy 30 cm 33 1/3 obrotów na minutę, czas odtwarzania 1 strony ok. 20-25 minut. Dawne nagrania na płytach odtwarzanych przy szybkości 78 obrotów na minutę praktycznie już całkowicie wyszły z użycia. Podobnie jak igły stalowe, zastąpiono wkładką kryszaliczną, w której nacisk mechaniczny ostrza na kryształ piezoelektryczny powoduje powstanie na jego ściankach ładunków elektrycznych. Zmiany nacisk powoduje zmiany ładunków na ściankach piezokryształu, a w utworzonym obwodzie płynię sła biutki prąd elektryczny. Prąd ten po wzmacnieniu płynię do głośnika i wprawia w ruch jego membranę. Zaś patefonowe igły stalowe, jeśli komuś jeszcze zostały, pełnią doskonałą rolę gwóźdź w naszych nowych mieszkaniach w blokach.

Oczywiście technika nagrań płytowych bynajmniej nie wypowiedziała jeszcze swego ostatniego słowa. Ot, chociażby płyty odtwarzane z częstotliwością 16 obrotów na minutę — na razie płyty do nauki języków obcych, ale w przyszłości i do nagrań innych rodzajów dźwięków. Czas odtwarzania takiej płyty po jednej stronie wynosi blisko godzinę.

Jednakże największym osiągnięciem wytwórci płytowych są nagrania stereofoniczne. Wprowadzenie techniki nagrań stereofonicznych i w bardzo bliskiej przyszłości — kwadrofonicznych otworzyło przed producentami szerokie możliwości, zaś odbiorcom dostarczyło nagrań na najwyższym poziomie technicznym i artystycznym. Ołbrzymia popularność płyty gramofonowej, jaką uzyskała ona w ostatnich latach swojej zawrotnej kariery, wynika właśnie z faktu, że osiągnęła ona doskonałość pod każdym względem. Na płytach nagrywane są największe stawy muzyki poważnej i rozrywkowej, a nakłady poszczególnych nagrań nierzadko przekraczają milion sztuk.

Mimo szerokiego rozpowszechnienia magnetofonów w użytku domowym płyta spokojnie wytrzymuje z nimi konkurencję. Jest bowiem dzisiaj najłatwiej dostępnym źródłem muzyki o bardzo wysokich parametrach technicznych i doskonałym odwzorowaniu.

ELIAS CANETTI

WOŁANIE SLEPCÓW

Próbuję coś opowiedzieć, ale gdy tylko milknę, spostrzegam, że jeszcze nie powiedziałem. Cudownie gęsta, świeca substancja zalega we mnie i drwi ze słów. Czy to jest język, którego tam nie zrozumiałem i który teraz musi się we mnie stopniowo tłumaczyć? Były tam zdarzenia, obrazy, dźwięki, których sens o dziwo się dopiero w człowieku; nie ograniczono ani zubożono przez słowo; istniejące po jego drugiej stronie, głębsze i więcej znaczące.

Marzę o człowieku, który zapomniał wszystkie języki świata i w żadnym kraju nie rozumie ani słowa.

Co tkwi w języku? Co on skrywa? Co zabiera człowiekowi? Podczas tygodni spędzonych w Maroku nie próbowałem się nauczyć ani arabskiego ani żadnego z języków berberyjskich. Nie chciałem stracić nic z siły niezwykłych głosów. Pragnąłem, aby dźwięki dochodziły mnie tak, jak to wynika z nich samych; aby nie było im osłablać przez nieudolną i sztuczną wiedzę. Nie czytałem nic o kraju. Jego zwyczaj były mi tak samo obce jak mieszkawcy. Ta odrobina wiedzy, którą można posiadać w trakcie życia o każdym narodzie, ułotniła się po kilku godzinach.

Pozostało jednak słowo „Allah”, tego nie uniknąłem. Osadziło się we mnie wraz z tymi moimi doświadczeniami, które najczęściej, najdłużej i najmocniej związane były ze ślepcami. W podróży chłoniemy wszystko, oburzenie zostaje w domu. Patrzymy, słuchamy, zachwycały się najstraszniejszymi rzeczami dlatego, że są nowe. Dobry podróźnik są bez serca.

Gdy w ubiegłym roku po piętnastoletniej nieobecności zbliżam się do Wiednia, przejeżdżając przez Rynek Słepców, miejsce, którego istnienia nigdy wcześniej nie podejrzewałem. Nazwa trafiła mnie jak pejsz i od tej pory nie opuściła. Tego roku, gdy przybyłem do Marakeszu, znalazłem się nagle wśród ślepców. Były ich setki, niezliczone, w większości żebracy, grupami, po ośmiu, dziesięciu, stali w zwartym szeregu na rynku i już z daleka słyszano się ostre, wieczne przez nich powtarzane zawołania. Zatrzymałem się przed nimi i stawałem, jak oni bez ruchu, nigdy nie mając pewności, czy czują moje obecność. Wszyscy trzymali drewniane puszki na jalmuznę, a gdy się coś do którejś rzuciło, ofiarowana moneta wędrowała z ręki do ręki, każdy dotykał jej, badał, aż jeden z nich, widać mający taką funkcję, wkładał ją w kołcho do kieszeni. Czuli wspólnie, tak jak wspólnie mruceli i wołali.

Wszyscy ślepycy oferują ludziom imię Boga i za jalmuznę można nabyć do niego prawo. Zaczynają Bogiem, kończą Bogiem, powtarzają jego imię tysiąc razy dziennie. Wszystkie wołania zawierają je w odmiennej formie, ale wołanie na które raz się zdecydować, pozostaje już takie samo. Są to akustyczne arabskie wokół Boga, o ileż więcej jednak wywierają wrażenie niż wizualne. Niektórzy poprzestają na wykrzykiwaniu tylko imienia Boga. Jest w tym straszliwy upór; Bóg wydał mi się nagłe murem, atakowanym przez nich ciągle w tym samym miejscu. Mam wrażenie, iż żebracy utrzymują się przy życiu bardziej dzięki formułkom niż jalmuznie.

Powtarzanie tego samego zwrotu charakteryzuje wołającego. Poznajemy go, zapamiętujemy, już zawsze będzie obecny; cały zawiera się w wołaniu, jedynie swojej własności. Nigdy nie dowiemy się o nim niczego, formułka jest granicą, za którą się chroni. W tym jednym miejscu jest tylko tym, co wykrzykuje, niczym więcej, niczym mniej, żebrakiem, ślepcem. Ale wołanie jest powieleniem, szybkie, miarowe powtarzanie przeistacza go w grupę. Jest w tym szczególna energia: żebrak żąda za wielu i dla wszystkich zbiera. „Myśl o wszystkich żebrakach, myśl o wszystkich żebrakach! Bóg pobłogosławi cię za wszystkich żebraków, których wspomiesz!”

Powiedziane jest, że uboży wstąpią do raju pięćset lat wcześniej niż bogaci. Za jalmuznę kupujemy od biednych kawalek raju. Gdy ktoś umrze, „treba szybko, z zawołaniem; płaczkami lub bez, isé pieszno na miejsce spoczynku, aby zmarły jak najrychlejš wstąpił do krainy zbawienia. Ślepycy śpiewają wyznawanie wiary”.

Po powrocie z Maroka usiadłem w rogu pokoju z zamkniętymi oczami, z nogami skrzyżowanymi i przez pół godziny odpowiednio szybko i dobitnie próbowałem powtarzać „Allah, Allah, Allah!”. Usiłowałem wyobrazić sobie, że powtarzam to przez cały dzień i znaczną część nocy, że po krótkim śnie zbudzę się i wrwa to dni, tygodnie, miesiące, lata; że starzeję się coraz bardziej i uprosznie trzymam się tego życia; że ogarnia mnie wieczność, gdy coś przeskądza mi tak żyć; że jedynym moim pragnieniem jest irwanie w takim właśnie życiu.

Pojęcie, jaką pokusę stanowi życie redukujące wszystko do najprostszego powtórzenia. Jak dużo, czy raczej jak mało urozmaienienia jest w czynnościach rzemieślników, których widziałem przy pracy w ich niewielkich warsztatach? W łazgach handlarzy? W krokach tancerzy? W niezliczonych filiżankach młotowej herbaty pitej tu przez wszystkich przyjeżdżających? Ile jest odmiann pieniądza? Ile głodu?

Zrozumiałem, kim są w istocie ślepi żebracy: to Święci Powtórzenia. Z ich życia wykreślona jest większość tego, co w naszym świecie broni się przed powtórzeniem. Jest miejsce, w którym oni stoją lub kucą. Jest niezmieniona formułka. Jest ograniczona liczba monet, na jakie mogą liczyć, trzy lub cztery jednostki. Są wprawdzie różni ofiarodawcy, ale ślepie nie widzą ich i w mowie dziękczynnej starają się, aby także wspomagający stali się Jednakowi.

RADOŚĆ OSŁA

Z nocnych spacerów po uliczkach miasta lubiłem wracać przez Djema el Fna. Jest sprawa osobliwa przedchodzić przez plac prawie pusty o tej porze. Nie ma już ani skrobatów ani tancerzy; zaklinalcy węzłów czy polycykacy ognia. Czasem jakiś człowieczek siedzi tam w kuci, sam jeden jak palec, trzymając przed sobą kosz z maleńkimi jajkami. Wokół niego, jako okiem sięgnąć, nie widzę ludzi. Tu i ówdzie pała się lampy acetylenowe, płac pachnie nimi. W budach garbuckich kilku mężczyzn się zupe. Sprawiają wrażenie ludzi samotnych, nie mających dokąd iść. Po bokach placu inni przygotowują się do snu. Niektórzy leżą, większość przykuc, wszyscy mają naciągnięte na głowy kapuropy. Śpią bez ruchu i trudno się domyślić, że pod ciemnymi kapurami cokolwiek oddycha.

Pewnej nocy spostrzegłem na placu duży, elastyczny krag ludzi. Wszyscy stali. Mroczne cienie na twarzach i postaciach, skupionych wokół ostrego światła lamp, przysiadali im czegoś niesamowitego i tajemniczego. Usłyszałem dźwięki dwu tubyjszych instrumentów i czysj gwałtownie przemawiający głos. Podszedłem bliżej i znalazłem łuk, przez którą mógłem zajrzeć do środka; mężczyzna z kijem w rłoni niecierpliwie stawiał jakieś pytania osłowi.

Ten osioli był chyba najmłodszy z wszystkich misernych osłowi w mieście. Był całkiem wygolony, kości mu wystawały, skórę miał wycarta, nie zdolaby już pewnie unieść najmniejszego ciężaru. Zastanawiało, w jaki sposób trzyma się jeszcze prosto na nogach. Mężczyzna wiół z nim komiczny dialog. Próbował go do czegoś skłonić. Osioli był jednak uparty i nie odpowiadał na pytania. Oświetlone lampami ludzie śmiali się głośno. Zapewne była to jakas opowieść, w której osioli grał jedną z ról, bowiem po długiej gadaninie smutne zwierzę zaczęło się powoli obracać w takt muzyki. Mężczyzna cały czas wymachiwał nad nim kijem. Mówił coraz szybciej, głośniejš, grzmiał wręcz, aby utrzymać osła w ruchu, a jego słowa sprawiły wrażenie, że i on sam ucieleśnia jakas komediową postać. Muzyka wciąż trwała, ludzie nie posiadali się ze śmiechu i wyglądał jak ludo- i osłozery. Pozaostatem tam niedługo, nie mogę więc powiedzieć, co działo się później. Wstręt przepychyżył moją ciekawość. Dawno już polubiłem osły tego miasta. Co krok miałem okazję odczuwać wzburzenie z powodu ich traktowania, a przeciw byłem beznadny. Jednak takiego żalnego stworzenia nigdy jeszcze nie widziałem i w drodze do domu próbowałem uspokoić się myślą, że nie przeżyje ono tej nocy.

Następnego dnia poszedłem na Djema bardzo wczesnie. Była sobota — jeden z najbardziej ruchliwych dni. Widzowie, wykonawcy, kosze i budy, wszystko to razem tłoczyło się i w tłumie trudno było utworzyć sobie drogę. Przedostałem się do miejsca, gdzie poprzedniej nocy widziałem osła. Spojrzałem i nie wierzyłem własnym oczom: stał zaowu. Zupelnie sam. Obserwowałem go dokładnie. Nie mogłem się pomylić, to był on. Jego właściciel spokojnie rozmawiał w pobliżu z kilkoma osobami. Jeszcze nie utworzył się wokół niego krąg. Nie było muzyków. Przedstawienie jeszcze się nie zaczęło. Osioli stał dokładnie tak samo jak poprzedniej nocy. W promiennym blasku słońca jego skóra wyglądała na jeszcze bardziej wycarta. Wydał mi się starszy, nędzniejszy, bardziej wygolony.

Nagle poczułem kogoś za plecami. Usłyszałem gwałtowne słowa, których nie rozumiałem. Odwróciłem się i na moment straciłem osła z oczu. W tłumie przyciskał się do mnie jakiś mężczyzna, ale okazało się, że wyraża komu innemu. Ponownie zwróciłem się w stronę osła. Nie poruszył się, ale nie był to już ten sam osioli. Pomiędzy tylnymi nogami, ukosnie do przodu zwiś mu nagle niesamowity członek. Był potężniejszy niż kij, którym groziło mu poprzedniej nocy. Przez te chwile, kiedy byłem odwrócony, zasła w nim imponująca przemiana. Nie wiem, co zobaczył, usłyszał, lub poczuł. Nie wiem, co przyszło mu do łba. Ta biedna, stara, słaba istota, bliska padnięcia, używana tylko do przedstawień, traktowana gorzej niż jakikolwiek osioli w Marakeszu, mniej niż nie, stworzenie bez mięsa, siły i przyzwyczajonej skóry, miało w sobie jeszcze tyle żądzy, tyle radości życia, że to jedno spojrzenie uwolnić mnie od wrażenia jego niedzy Często myślę o tym osle. Mówię sobie: było go jeszcze tak dużo, kiedy ja niczego już w nim nie widziałem. Życząc każdemu gnębnemu takiej radości w biedzie.

Przekład:
SŁAWA LISIECKA

PLASTYKA

LÓDZKIE TRADYCJE I DZIŚNIEJSZY

Pradzie plastyki łódzkiej sięgają „aż” XIX wieku, mimo to już w okresie dwudziestolecia międzywojennego rozwijająca się progresywnie Łódź uzyskuje miano „miasta awangardy”, staje się centrum nowoczesnej sztuki, promieniującym na inne ośrodki artystyczne. Powołany przez WŁADYSŁAWA STRZEMINSKIEGO łódzki Związek Zawodowy Polskich Artystów Plastyków był najnowocześniejszą tego typu organizacją w Polsce. Mimo że początkowo liczył tylko 30 a później 40 członków, silnie oddziaływał na kierunek rozwoju odradzającej się sztuki polskiej. Jeszcze przed utworzeniem Związku istniała w Łodzi prężna grupa nowatorów skupiona wokół WITOLDA WANDURSKIEGO z KAROLEM HILLEREM, WINCENTYM BRAUNEREM, STANISŁAWEM NOTARIUSZEM i LUDWIKIEM OLLI. Później dołączyli do nich młodzi artyści zafascynowani twórczością Władysława Strzemińskiego i Katarzyny Kobro: BOLESŁAW HOCHLINGER, JERZY KRAUSE, JULIUSZ LEWIN, ANIELA MENKES, SAMUEL SZCZEKACZ, PIOTR SZWARC i STEFAN WEGNEK, podejmując unikalne w Polsce zadania rozwoju formy artystycznej od kubizmu po strukturalizm. Po rozbitciu GRUPY KRAKOWSKIEJ, która ze względu na lewicowe poglądy popadła w konflikt z konserwatywnym środowiskiem krakowskim, zespół awangardy powiększył jeszcze łódzianie dotychczas pracując w Krakowie: SZYMON PIASECKI, BOLESŁAW STAWIŃSKI i HENRYK WICIŃSKI. Z łódzkim Związkiem współpracowali stale również inni wybitni artyści polscy: JANKIEL ADLER, ALEKSANDER

BLONER, STANISŁAW GRABOWSKI, KONSTANTY MACKIEWICZ, HENRYK STAŻEWSKI. Słowem, w Łodzi spotkali się najbardziej twórczy artyści, stawiani dziś na czele nowoczesnej sztuki polskiej.

Łódź po drugiej wojnie światowej straciła zaszczytną pozycję lidera awangardy. Krótki okres rozwoju sztuki w latach czterdziestych nie ukształtował tak silnego, odrębnego centrum, które mogłoby utrzymać poprzednią rangę. W latach pięćdziesiątych Łódź staje się prowincjonalnym, zakompleksionym, drugorzędnym środowiskiem artystycznym. Próby wyjścia z impasu podejmują w końcu lat pięćdziesiątych młodzi artyści organizując wystawy pod hasłem „MALARSTWO, POEZJA — PIĄTE KOŁO”, między innymi poszukujący nowego, poetyckiego języka wyobrażeń — STANISŁAW FIJAŁKOWSKI i LESZEK RÓZGA. Wreszcie kształtując swój profil grupa łódzkich realistów: JERZY KRAWCZYK, WIESŁAW GARBOLIŃSKI, BENON LIBERSKI, BARBARA SZAJDZIŃSKA i inni. Stopniowo odradza się pozycja łodzian na mapie sztuki polskiej. ANDRZEJ ŁOBODZIŃSKI interesuje się plastyczną strukturą dźwięku; ANTONI STARCZEWSKI strukturą naturalnie ukształtowanych form biologicznych, pulsujących zrytmizowanych układów; IRENEUSZ PIERZGAŁSKI analizuje umowność przenikających się struktur wizualnych.

Powstają galerie autorskie preferujące sztukę konceptualną, poprzez wizualną „GALERIA ADRES” EWI PARTUM czy odmiennie ukierunkowana „GALERIA 80 x 140” JERZEGO TRELIŃSKIEGO. Formuluje się

„DRUGA AWANGARDA” działająca na pograniczu plastyki, fotografii i filmu, w której czołową rolę odgrywają artyści skupieni w WARSZTACIE FORMY FILMOWEJ, pionierzy nowego języka filmu: JERZY ROBAKOWSKI, WOJCIECH BRUSZEWSKI, KAZIMIERZ BENDKOWSKI, PAWEŁ KWIEK, ANDRZEJ RÓŻYCKI i RYSZARD WAŚKO, często współpracuje z nimi twórca wielu spektakli — „performance” z pogranicza sztuki i filozofii ZBIGNIEW WARPECHOWSKI.

Wszystkie te działania artystyczne pozostają jednak w dużej kolizji, są niedostępne dla szerszego odbiorcy. Rolę pośrednika i informatora przedstawiającego zagadnienia nowej sztuki na forum ogólnym, przyjął na siebie KLUB KRYTYKI PLASTYCZNEJ, działający w oparciu o Związek Polskich Artystów Plastyków i Stowarzyszenie Historyków Sztuki. Zespół prezentowanych tutaj artykułów, przygotowany z okazji tygodnia plastyki łódzkiej, obejmuje w zasadzie główne problemy interesujące jego członków, a więc zagadnienia informacyjne, teorii i krytyki artystycznej, a co najważniejsze odbioru sztuki przez społeczeństwo. Oprócz tego przygotowaliśmy materiały dotyczące twórczości artystów współpracujących z przemysłem, współdziałających z architektami, projektantów druków itp.; z ich w większości anonimowymi pracami, spotykamy się ciągle, ale nie zawsze je zauważamy i, potrafimy należycie docenić.

JANUSZ ZAGRODZKI



klub krytyki
plastycznej
związek polskich
artystów plastyków
stowarzyszenie
historyków sztuki

Malarze, graficy, rzeźbiarze powiadają, że ryzyk zawodowe — co można też rozumieć jako ryzyko artystyczne — ponoszą oni, podczas, kiedy architekci wewnątrz, na przykład, działają zawsze bez ryzyka. I jest w tym pewnie sporo racji, jeśli uzmysłowimy sobie, że malarz przystępuje do realizowania obrazu bez zamówienia — no, chyba, że jest to portret, ale takie zamówienia należą już raczej do historii — i nie wie, czy dzieło jego znajdzie w ogóle nabywcę. Stąd też malarz, który zainwestował w realizację obrazu płótno, farby, ramę i swój czas, nie ma żadnej pewności, czy były to nakłady potrzebne. Nie kupione dzieło, kurzy się potem i niszczy w zakamarkach pracowni. Ile takich dzieł bez adresata, dokonano swego żywota w pracowniach?

Architekt wewnątrz takich problemów nie ma. Podejmuje się pracy na konkretne zamówienie, nie ponosi więc ryzyka, że pozostanie na lodzie sam z wykonanym dziełem. Ma też przekonanie, że jego projekt zostanie zrealizowany, czyli spełni swoją funkcję i „wejście między ludzi”. Ale tak jest tylko pozornie. Ten, kto zamawia — dyktuje warunki i trudno się temu dziwić, skoro płaci. W związku z tym już w trakcie pracy nad projektem, zaczynają się kłopoty, wynikające z nadmiernych żądań pod adresem architekta wewnątrz Gdymbyz to były jeszcze zadania użytkowe, związane z lepszym wypełnieniem funkcji przyszłego wnętrza. Niestety, zdarza się jeszcze nieraz, iż zleceniodawca domaga się takiego naginania projektu do jego własnych wyobrażeń o tym, co jest ładne i prawdziwie estetyczne, że w końcu zrealizowane wnętrza w niczym nie przypominają już tego, co na początku widział oczyma wyobraźni artystyk-architekt wewnątrz. Tak więc końcowy efekt staje się w mniejszym lub większym stopniu dziełem kompromisu. A że pod kompromisem artysta niechętnie się podpisuje, więc próżno też szukać we wnętrzu nazwiska autora układu przestrzenno-estetycznego tegoż pomieszczenia. I tu dochodzimy do pierwszej osobliwości pracy twórczej architektów wewnątrz — osobliwości, której na imię anonimowość. Obraz, rzeźba, grafika zwłaszcza, są podpisane lub sygnowane w taki sposób, że autorstwo jest sprawą zasadniczej wagi. W architekturze wewnątrz nawet najlepiej zaprojektowany układ plastyczny pomieszczenia, nawet wyjątkowo niebanalne wnętrza, pozostają dla jego użytkowników działaniem nieczym; mało kto kojarzy sobie, że wniesiona tu została indywidualna praca twórcza konkretnego artysty. Wnętrze może być miejscem ruchliwym, jak sklep, teatr, biuro turystyczne, może być miejscem kameralnym jak gabinet dyrektora, a mimo to dla stu proc. ich użytkowników — i nie jest to przesadą — autorstwo architektury wewnętrznej pozostaje białą kartą. Po prostu nie jest w zwyczajnym (dlaczego?) zaznaczanie gdzieś w sposób trwały, kto projektował wystrój sali, hallu, gabinetu, tak, jak robią to czasem architekci znamie-

GUSTAW ROMANOWSKI

O KILKU OSOBLIWOŚCIACH ARCHITEKTURY WNĘTRZ

nitszych budowli, umieszczając swoje nazwisko gdzieś na frontonie budynku. A poza tym nie zawsze pewnie autor chciałby się podpisać pod pracę którą jest dziełem nie tylko jego, ale i kierownika instytucji i głównego księgowego i pewnie pani z sekretariatu dyrektora, która swoim zamiłowaniem estetycznym potrafi dać wyraz na tyle stanowczo, że projektant poczyna tu i ówdzie stosowne zmiany.

Czy można się zatem dziwić, że autor projektu wnętrza nawet nie pomyśli, że mógłby gdzieś na bocznej czy filarze umieścić swoje nazwisko, skoro podpisywanie się pod pracę kolektywną nie należy do dobrych zwyczajów? Do tego dochodzą jeszcze wykonawcy — którzy też mają swoje przyzwyczajenia — a także materiały, które są w pracy architekta wewnątrz najczęstszą niespodzianką. Projektant nie jest bowiem w stanie przewidzieć czy materiały, których użył z początku zaproponował, rzeczywiście będą potem dostarczone i użyte przy realizacji.

W ten sposób dochodzimy do drugiej osobliwości pracy twórczej architekta wewnątrz, której na imię improwizacja. W krajach, gdzie nowoczesne wnętrze jest rozwinięte na skalę powiędziny, prawie przemysłową, na projektanta czekają katalogi materiałów i określonych standardów wyposażenia. W katalogu takim jest więc zestaw tuż tam regałowy, rozwiastki żródeł światła, wykładzin ściennych, mebli itp., które wewnątrz może dowolnie wybierać a sam projektuje tylko ogólną kompozycję całości. U nas katalogi takie wprowadza się niejako metodą eksperymentu, tylko w Poznaniu, w związku z czym architekt wewnątrz musi improwizować w materiałach, surowcach i półfabrykatkach których, prawie że nie ma. Improwizując, ale robiąc przecież rysunki techniczne, oblicza, nie będąc do końca pewnym, czy te żmudne prace, będą w końcu spożytkowane; czy nie trzeba będzie zmieniać i poprawiać projektu pod kątem dostępnych akurat w momencie realizacji materiałów. A że improwizacja jest, jak wiadomo o wiele bardziej czasochłonna niż standaryzacja, nie przeto dziwnego, że uprawianie architektury wewnątrz z prawdziwego zdarzenia jest u nas w dalszym ciągu bardzo skromne.

Dochodzimy zatem do trzeciej osobliwości zawodu architekta wewnątrz, której na imię elitaryzm. Specjalistów tej dziedziny mamy bardzo mało, potrzeby wydają się wielkie, a mimo to architektki wewnątrz w poszukiwaniu prac projektowych jeżdżą po całej Polsce. W Łodzi do sekcji w Okręgu ZPAP należy 57 plastyków a 24 jest kandydatami. Wydaje się, że to sporo, ale tak naprawdę wnętrzem zajmuje się nie więcej niż 10 osób. Kilku specjalizuje się w projektowaniu wystaw, kilku robi tak zwaną małą architekturę. A reszta? Reszta nie projektuje wewnątrz, bo nie ma zleceń i utrzymuje się z innych prac plastycznych. Garstka łódzkich architektów wewnątrz projektuje w wielu różnych miastach, nawet nieraz bardzo oddalonych od swego miejsca zamieszkania. Po prostu w Łodzi zamówień jest bardzo mało a czekanie na nie, to czekanie na przyszłowiego Godota. To prawda, architektki wewnątrz nie związane etatami mają pewną konkurencję w postaci specjalistycznych pracowni przy biurach projektowych handlu wewnętrznego i przemysłu włókienniczego. Ale biura te zajmują się „produkcją serwina” przy uproszczonych założeniach użytkowych i minimalnych na ogół nakładach, podczas kiedy zamówienie wewnątrz u architekta wewnątrz, jest zawsze przedsięwzięciem o wiele bardziej pracochłonnym, ale też i ambitniejszym. No, chyba, że architekt wewnątrz też posługuje się szablonem i stempami, gdyż mu się nie opłaca myśleć nad czymś oryginalniejszym a więc trudniejszym.

Oto więc dochodzimy do czwartej osobliwości zawodu architekta wewnątrz, która ma imię dwójki: albo sztaba, albo filantropia — w zależności od kondycji, humoru a przede wszystkim ambicji konkretnego projektanta. Jak wiadomo nie zmieniony od 1950 roku cennik na prace wykonywane przez plastyków powoduje sytuację, w których artysta-plastyk nie zawsze chce podejmować się zadań pracochłonnych, trudnych, skomplikowanych, gdyż ujmując rzecz w kategoriach finansowych nie bardzo mu się to opłaca. Stąd też poziom jakościowy projektów architektury wewnątrz ustala się indywidualne ambicje poszczególnych twórców. Tak więc architektki wewnątrz — minimalisci, idą na stempę; architektki wewnątrz — romantycy, starają się dać z siebie więcej, rozumując szlachnie, że artysta powinien być przede wszystkim ambityny, gdyż pieniądze się liczą, a najważniejsze jest dzieło. Ten dyalekt będzie jednak rozwiązany wraz z wejściem w życie nowego cennika prac plastycznych, o którym już słychać.

Na architekturę wewnątrz często się narzeka w naszej publicystyce i w wolnych rodawkach rozmowach. W gruncie rzeczy narzekania te są słuszne, jeśli za obiekt krytyki biorą sztabpawę i byle jakie projekty wewnątrz, zwłaszcza sklepów, od których aż się roi. Ale jeśli weźmie się pod uwagę wszystkie osobliwości wykonywania tego zawodu, to narzekając, mamy raczej tylko w połowie. Mamy bowiem taką architekturę wewnątrz, jaką stymuluje ogólna kultura korzystania z pomieszczeń użytkowych a również i mieszkalnych. Wielk. praca dla wnętrzarzy byłoby przecież projektowanie wnętrz naszych mieszkań i to zgodnie z wszystkimi zasadami sztuki. Nie jesteśmy jednak jeszcze na tym etapie a wnętrza urządzamy sobie sami, tak jak umiemy i jak możemy. I w tym tkwi pewnie powód, dla którego zawód architekta wewnątrz jest jeszcze tak w społeczeństwie niepopularny a jakie często zwykle niedostrzegany.

KRYSTYNA POTOCKA

PLASTYCY I PRZEMYSŁ

W żadnym ze środowisk artystycznych w Polsce nie ma tak licznej — jak w Łodzi — grupy plastyków zajmujących się działalnością z pogranicza twórczości i produkcji czyli projektowaniem przemysłowym. Wynika to z jednej strony z ukierunkowania Państwowej Wyższej Szkoły Plastycznej, która do niedawna kształciła prawie wyłącznie projektantów przemysłowych w zakresie tkanin i ubiorów, z drugiej natomiast, ze specyfiki naszego miasta jako centrum przemysłu włókienniczego w Polsce.

Przed dziesięć laty w Okręgu Łódzkim Związku Polskich Artystów Plastyków powstała Sekcja zrzeszająca twórców zajmujących się projektowaniem przemysłowym. Nie będzie przesadą stwierdzić, że jest to najbardziej dynamicznie rozwijająca się sekcja naszego okręgu. Zrzesza 320 członków, co stanowi około 50 proc. ogólnej liczby członków łódzkiego związku i około połowy wszystkich projektantów przemysłowych w Polsce, członków ZPAP.

Materiały sprawozdawcze z działalności Rady Artystycznej Sekcji i karty twórczości członków Sekcji wykazują na liczne sukcesy artystyczne i osiągnięcia zawodowe. Tylko w okresie ostatniej kadencji 1974 — 1977 członkowie Sekcji zdobyli 250 różnego rodzaju nagród, medali i wyróżnień na wystawach, pokazach i giełdach. Wielu projektantów-członków Sekcji — prezentowało swoje projekty i kolekcje na wystawach w Paryżu, Moskwie, Brnie, Tokio, Melbourne, Brukseli, Londynie i Berlinie, uzyskując wysoką ocenę i uznanie zagranicznych obserwatorów i kontrahentów. Miara sukcesów, choć może nie tak wymierna, jest ogromna aprobatą dla efektów pracy łódzkich designerów przez zwykłych konsumentów. Dzięki ich pracy coraz więcej wyrobów staje się synonimem dobrej roboty, wysokiego światowego standardu, elegancji, czy też mody, spełniając w ten sposób nasze marzenia, potrzeby i kształtując naszą kulturę konsumpcji. Z ogólnej liczby 320 członków Sekcji Projektowania Przemysłowego ok. 200 pracuje w przemyśle, z tego ok. 170 w przemyśle lekkim. Wielu artystów współpracuje z przemysłem w oparciu o umowę zlecenie za pośrednictwem Zakładów Artystycznych „Art” i Pracowni Sztuk Plastycznych. Istotnym Statutowym celem ZPAP jest kształtowanie kultury plastycznej w Polsce.

Śpośród wszystkich Sekcji Związku reprezentujących poszczególne dyscypliny plastyczne największą odpowiedzialnością ciąży na Sekcji Projektowania Przemysłowego. Działalność społeczna, zawodowa i dydaktyczna jej członków jest składową strukturą organizacyjnych wzornictwa przemysłowego w Polsce, które nie tylko wywiera bezpośredni wpływ na poziom produkcji i wyniki działalności gospodarczej, ale także odgrywa dużą rolę jako czynnik kulturotwórczy. Jest narzędziem kształtowania pożądanego wzornictwa konsumpcyjnych, nosnikiem idei postępu, ugruntowuje nawyk ładu estetycznego i komfortu. Stąd właśnie ogromna rola, a zarazem i odpowiedzialność społeczna artystów plastyków — twórców projektów dóbr konsumpcyjnych.

Niepelne jednak zrozumienie właściwej roli i znaczenia wzornictwa przemysłowego spowodowało dotychczasowe braki w jego organizacji i przypadkowość w działaniu. Jedną z poważnych przeszkód, obok wielu innych utrudniających prawidłowy rozwój wzornictwa, jest wadliwa struktura służb wzornictwa i niedostateczne wykorzystanie potencjału twórczego projektantów. Na ostatni, złożony zreszta problem, rzutuje m. in. brak właściwie opracowanych form zatrudnienia umożliwiających doskonalenie zawodowe i twórcze plastyka — projektanta, niezatrudnianie bądź niewłaściwe zatrudnianie i niepełne wykorzystanie przez zakłady przemysłowe i instytucje plastyków — projektantów. Problem wymaga nie tylko podjęcia odpowiedzialnych działań typu ekonomicznego i administracyjnego, ale także przebudowy pewnych pojęć w środowisku plastycznym. Zawód plastyka-projektanta nie cieszy się jeszcze należytym autorytetem w tym środowisku. Wszystko to w ewidentny sposób utrudnia procesy integracyjne artystów plastyków z przemysłem. Dlatego też, jednym z najważniejszych programowych zadań Sekcji Projektowania Przemysłowego jest działanie w kierunku podniesienia rangi wzornictwa przemysłowego. Braków i niedociągnięć w tej dziedzinie nie da się bowiem wyeliminować wyłącznie drogą administracyjnych decyzji. Istnieje potrzeba długofalowej pracy

uświadamiającej, wychowawczej, szkoleniowej i propagandowej. Taki cel przyświeca, organizowanemu przez łódzki ZPAP i z jego inicjatywy, Międzynarodowemu Triennale Tkaniny Artystycznej i Przemysłowej, wystawom tkanin przemysłowych, spotkaniem z plastykami-projektantami. W 1974 r. na wniosek ZPAP w Łodzi przyznana została Nagroda Miasta Łodzi w dziedzinie kultury, zespołowi projektantów tkanin dekoracyjnych, członkom Sekcji Projektowania Przemysłowego. Takie działania przyczyniają się do podniesienia rangi tej dyscypliny twórczej wśród technologów w przemyśle, zbliżają sztukę i jej twórców do producentów-robotników, budząc dla niej szacunek.

Drugim ważnym aspektem działania Sekcji Projektowania Przemysłowego na rzecz rozwoju polskiego wzornictwa jest energiczna akcja mająca na celu podniesienie statusu projektanta przemysłowego jak również właściwej kompleksowej organizacji pionu artystycznego w przemyśle lekkim. I tak np. członkowie Sekcji biorą aktywny udział w pracach w Międzyministerialnym Zespole ds Wzornictwa, w Zespole Konsultacyjnym ds Wzornictwa w Ministerstwie Przemysłu Lekkiego, wychodzą z cennymi inicjatywami i postulatami, że wspomnie choćby o inicjatywie powołania w Łodzi Centrum Wzornictwa Przemysłowego. Wszystkie te działania przyczyniają się do przyspieszenia i wypracowania resortowych i centralnych decyzji czy też aktów normatywnych.

Optymistycznym symptomem wróżącym poprawę sytuacji w polskim wzornictwie jest Uchwała Rady Ministrów z kwietnia br. w sprawie rozwoju wzornictwa, w którym postulaty łódzkich plastyków-projektantów znalazły odzwierciedlenie. Niewątpliwie jest to doniośle akt, do którego wydania przyczyniła się także działalność społeczna członków Sekcji Projektowania Przemysłowego Łódzkiego Okręgu ZPAP, jednakże by nie pozostał on tylko teorią w ślad za tym powinny pójść precyzyjne zarządzenia wykonawcze.

GRZEGORZ MUSIAŁ

PRZESTRZEŃ RZECZYWISTA A PRZESTRZEŃ MALARSKA

(W KRĘGU ŁÓDZKICH REALISTÓW)

Każdy artysta żyje jednocześnie w różnych przestrzeniach, tzn. że posiada kilka odmiennych wyobrażeń o tej samej, otaczającej go przestrzeni. Interesującym mnie zagadnieniem jest przestrzeń rzeczwiśta postrzegana przez artystów i kreowana przez nich przestrzeń malarska. Srodkiem przekazu staje się język plastyczny, który w procesie kreacyjnym przestaje pełnić funkcję rejestracyjną, przetwarzając jednocześnie wrażenia wzrokowe i myślowe. Dlatego właśnie ta sama przestrzeń rzeczwiśta może stać się bodźcem do działania artystycznego dla malarzy o różnych temperamentach plastycznych. To samo doznanie wizualne może być u każdego artysty zapisane odmiennym językiem plastycznym. Wynika to m.in. z tego, że artyści żyjący w tej samej przestrzeni rzeczywistości posługują się odmiennym sposobem przetwarzania tej przestrzeni, dając tym samym wyraz własnej indywidualności artystycznej (określanej jako styl) bez względu na umowną przynależność do któregoś z „izmów”.

W takiej sytuacji każdy artysta może stworzyć zupełnie nowy i odrębny wymiar przestrzeni, nazywanej przez mnie przestrzenią malarską. Rola artysty podobna jest do roli twórcy nowego świata, świata malarskiej wyobraźni, w odróżnieniu od świata rzeczywistego, w którym żyjemy.

W bieżącym roku mija właśnie piętnaście lat od momentu, kiedy widoczne i uznane stały się osiągnięcia Łódzkich malarzy realistów na pierwszej ogólnopolskiej wystawie „25 malarzy realistów” w warszawskiej Zachęcie. Nowum łodzian nie polegało na stworzeniu w malarstwie kolejnego „izmu”. W nowy sposób starali się pokazać otaczającą nas rzeczywistość, której konty-

nuacja miała być ich sztuką. Dzięki malarstwu realistycznemu narodziła się świadomość świata staje się pełniejsza. Każdy artysta żyje w swej prywatnej, subiektywnej przestrzeni, która staje się dla nas dostępna w momencie gdy patrzymy na produkt jego działania jakim jest obraz. Aby zrozumieć sztukę należy zdać sobie sprawę z tego, że artysta nie posługuje się wyłącznie receptorem przestrzennym jakim są oczy, ale również receptorem bezpośrednim — odczuciem. Informacja wizualna w połączeniu z informacją odbieraną przez inne zmysły tworzą określoną świadomość artystycznego widzenia przestrzeni rzeczywistości (tej aktualnej i tej przeszłej). W tym kontekście artysta wykorzystuje również swoją zdolność do adaptowania i wykorzystywania minionych doświadczeń. Można by sądzić, że przestrzeń rzeczywistości jest statyczna i zuniformizowana tzn., że to co widzimy jest takie samo dla wszystkich ludzi. Różnice zaczynają być widoczne w momencie gdy malarz posiada zdolność syntetyzowania co pozwala mu ogarnąć nawet bardzo rozległy teren wydarzeń. A zatem artysta może obrazować wszystko co wie, że istnieje lub istniało niezależnie od tego czy może to zobaczyć. Wyabstrahuje z przestrzeni rzeczywistości te fragmenty, z których organizuje określoną całość przestrzeni malarskiej. Powstaje komunikat bardziej uporządkowany i dostosowany od tego jaki mógłby stworzyć dla siebie laik. Dzieje się tak również dlatego, że człowiek został na zawsze odcięty od pełnego doświadczenia przestrzeni sensorycznych swoich przodków. Artysta stwarza nam tę możliwość korzystając z tego doświadczenia w sposób pełniejszy.

Dla artystów łódzkich: Benona Liberskiego, Wiesława Garbolińskiego, Leszka Rogi i Jerzego Krawczyka problematyka współczesnej przestrzeni rzeczywistości stanowi wyjątkowo zainteresowań. Ciągłe aktualne problemy rozrachunku z latami wojny, pierwsze wizje nowej przyszłości tworzyły triadę tematyczną kontynuowaną właściwie do dziś. Życie ludzkie w ich założeniu, to nie tylko kontemplacja piękna lecz przeżywanie spraw-

często smutnych i tragicznych. Życie dla sztuki jest tą rzeczywistością, której warto doświadczyć. Indywidualny temperament twórcy każdego z tych malarzy pozwala mu na stworzenie własnej, nowej formuły plastycznej charakterystycznej dla silnym związkiem ich sztuki ze światłem realnym.

Początkowo artyści łódzcy znaleźli się w orbici podobnej przestrzeni: zniszczonych, wydmuszonych miast, w których nowe życie nie może się jeszcze odrodzić. Najbardziej osobistą wizję tej przestrzeni, wzbogaconej ciągle powracającym problemem przemijania i zniszczenia odnajdujemy w cyklach graficznych LESZKA ROZI. Każdy cykl stanowi ściśle określoną i zamkniętą przestrzeń. Tytuły doświadczeń artysty: Rudery, Zmory, Agresje, Relikty, Przeknikania, Smietniki. Początkowo przestrzeń malarską tworzą struktury form architektonicznych, w których z czasem pojawia się człowiek. Zaniedbane małe miasteczko, szopy, rozsypane się rudery, w których wegetują ludzie. Ta przestrzeń zdaje się być widziana z góry, co daje artyście możliwość wniknięcia w głąb obrazowanych przedmiotów. Ta pasja przenikania, badania struktury ujawni się jeszcze bardziej w późniejszym okresie twórczości, kiedy artysta zaczyna wnikać we własne przestrzenie psychiczne. Notuje własne stany w konkretnych czasach. Czas miniony (lata wojny, okupacji), powraca w momencie gdy przegłębamy wspomniane cykle. Czas w muzyce przemija, w plastyce pozostaje utrwalaony w określonej przestrzeni, jaką jest obraz. Z reguły jest to przestrzeń nadrealistycznej metafory. Konkretne (łatwo dające się zidentyfikować) elementy przestrzeni rzeczywistości spełniają rolę kodów pozwalających odczytać, wewnętrzna przestrzeń artysty pełna różnorodnych odczuć: męki, smutku, kompleksów nagromadzonych w latach młodzieńczych, ale i pięknych wysublimowanych przeżyć. To co kiedyś zostało zakodowane w świadomości przetransponowuje do świata przestrzeni malarskiej. Chodzi tu o świadomość wynikającą nie z wiedzy, ale z przeżywania. Obraz wewnętrznej rzeczywistości, który nie chce mieć nic wspólnego ze światem realnym. W latach 1971-75 powstaje cykl zatytułowany „Kartki z albumu”. Powrót do minionego przestrzeni, spojrzenie na nią z lotu ptaka, chłodnym, wyrafinowanym okiem dojrzałego twórcy. Cyklem tym zamyka swój osobliwy traktat o przestrzeni wewnętrznej być może prawdziwiej od tej, w której żyjemy.

Interesującą wizję uprzedmiotowionej rzeczywistości stworzył BENONA LIBERSKI. Wyszł z szkoły artystycznej, która nauczyła go dialogu z odbiorcą. Sposób obrazowania wykorzystujący prawie zawsze skróty myślowe stawia w malarstwie blisko sztuki plakatu, a plakat jak wiadomo pełni zawsze funkcję sygnału dla aktualnych wydarzeń współczesnej przestrzeni rzeczywistości.

W tym malarstwie związek obu przestrzeni jest chyba najbardziej uchwytne. Na początku lat 50-tych malarz Liberski chłodnie i ascetycznie potraktowane fragmenty starej Łodzi, programowo antyestetyczne, obnażyły przestrzeń tego zaniedbanego miasta w niezwykle dramatyczny sposób. W latach 1960-65 powstaje cykl „Dyspozytorzy”. Bezpośrednią inspiracją do stworzenia przestrzeni malarskiej była przestrzeń zakładu przemysłowego. (Artysta był w tym czasie na planerze w cementowni w Działoszynie). Wizja rzeczywistości, zdefiniowana przez technikę — przerażenie i fascynacja, szukanie miejsca dla człowieka, który nie może przeciec stać się dodatkiem do maszyny.

W tym samym czasie rozpoczyna Benona Liberski swój największy cykl tematyczny kontynuowany do dziś. Są to wnętrza i w tym przypadku bezpośrednim źródłem inspiracji dla tak bogatej przestrzeni malarskiej stała się przestrzeń rzeczywistości. Niektórzy krytycy widzą w tym malarstwie podobieństwo ze sztuką amerykańskiego pop-artu. Nie sądzę aby było to słuszne w przypadku westrów Benona Liberskiego. Wielkie przestrzenie malarskie wykorzystujące schemat bizantyjskiego ikonostasu. Ten dziwny konglomerat komiks i ikony miał swoje konkretne uwarunkowania. Na początku lat 50 artysta rysował komiks do prasy codiennej, trochę później brał udział w pracach konserwatorskich dużego zbioru ikon, do dziś ulubionym gatunkiem rozrywki filmowej są westerny.

Osobne — nieco kameralne miejsce w jego twórczości zajmują akty. Nie są to jednak akademickie studia ciała ludzkiego. Stanowią one dla artysty rodzaj wariacji plastycznej. Anonimowe idole na tle wielkomięskiego szafaju łatwo kojarzą się z reklamami wielkich miast. Przesadna dekoracyjność tych płócien sprawia, że mają one charakter osobliwego kiczu. Całe to malarstwo zdradza zamiłowanie artysty do sztuki widowiskowej, pełnej przekornej



Wiesław Garboliński — „Samotność”

ironii, nie pozbawicne przy tym powagi i niebanalnej symboliki.

Wykładnia malarstwa WIESŁAWA GARBOLIŃSKIEGO jest stwierdzenie samego artysty; niezależnie od chęci i poglądów artysty działanie przestrzeni rzeczywistości występuje zawsze, czasami w sposób oczywisty i widoczny, czasami są to doświadczenia reminiscencyjne. Malarstwo jego cechuje bogactwo wątków ikonograficznych; motywy okupacyjne, pejzaże przemysłowe, akty w opustoszałych wnętrzach, kompozycje figuralne w barokowo zabudowanych przestrzeniach. Obraz nie jest dla niego nigdy odbiciem przestrzeni rzeczywistości, chociaż w percepcji wzrokowej z łatwością rozpoznamy dobrze nam znane przedmioty. Pozornie funkcjonują one na podobnych prawach, ale artysta nadaje im nowe funkcje. Szukając odpowiednich elementów tworzy to na czym mu najbardziej zależy — klimat obrazu. Wybór nie może być przypadkowy, skoro nawet przy zmianie tematu pozostaje ta sama atmosfera smutku i melancholii. Już w początkowym okresie kiedy obraz ograniczał się do jednego lub dwu elementów — postać ludzka, krzesło, tworzył się klimat zadumy, który pozostał do dziś. Klimat to nie tylko dobór odpowiednich elementów, to przede wszystkim wynik wnikliwej obserwacji wszystkiego co dzieje się wokół. Zderzenia rzeczy wysublimowanych i pięknych z elementami brutalnej rzeczywistości. Faktura zmiurzonego drzewa, relikt sztuki starożytnej w zestawieniu z pędznią lokomotyw dają możliwość zaskakujących skojarzeń. Tezy zawarte w tej sztuce nigdy nie są do końca zinterpretowane, dając artyście szansę dalszej konfrontacji własnej wizji plastycznej z otaczającym go światem.

Czy można do końca określić sztukę artystów, którzy żyją i mają w dalszym ciągu możliwość tworzenia w tak bogatej i skomplikowanej przestrzeni jaką jest rzeczywistość końca XX wieku?

W tym kontekście zamknięta całość stanowi jedynie malarstwo JERZEGO KRAWCZYKA, artysty zmarłego w 1969 roku. W latach 50 podobnie jak jego koledzy malował pejzaże nostalgiczne, bezładne przestrzenie utrzymane w sztywnej ramie barwnej, trafnie oddawający charakter ówczesnej Łodzi. Miasta zaniedbanego i opuszczonego, zastępnego w aurze monotonych zabudowań fabrycznych i warszkie, ciałnnych się w „nieskończoność” ulic. W krajobrazach podmiejskich ta nie-ruchowość zostaje niecięża rzedami jednolitych parkanów opasujących puste wzgórza. Z tego okresu pochodzi też obraz o tematyce marynistycznej. Morze to kolejny obszar beznadziejnej pustki, a molo po którym rzadko spacerują ludzie przypomina bardziej „promenie samotności” niż bieżący w morze pasaż radosnego wypoczynku. Obrazy te malowane przezwyciężanie w pracowni dawały artyście możliwość myślenia o naturze, stanowity wznadkowa obiektywne wrażenie z subiektywną wizją artystyczną. Odnajdujemy w nich pierwsze symptomaty filozoficznych zainteresowań artysty. Człowiek rzucony w otehtan samotności, bezradny, skazany w ostateczności na śmierć.

Malarstwo J. Krawczyka podobnie jak egzystencjalizm Sartre'a koncentruje się wokół problematyki jednostki ludzkiej. Jej wyalienowania, braku możliwości znalezienia absolutnie trwałego punktu oparcia. Fakt istnienia innych ludzi nie zmienia sytuacji jednostki, ponieważ możliwość pełnego porozumienia w stosunkach między ludzkimi praktycznie nie istnieje. Stąd może tak często bijący z obrazów Krawczyka nostalgiczny smutek, gorzka ironia, sarkazm a nawet ostateczne pragnienie samozniszczenia. Myśl, że najpełniej zawarł w tak osobistym źródle twórczości jakim są autoportrety: Quasimodo, Gruby Jurek, Myszy i ludzie — własne wizerunki opasłej, zdeformowanej twarzy, zgarbiona postać z pędzlem, w której zamiast głowy osadzono wcięty czerep. Są one odbiciem wrażeń z „osaczającego” go coraz bardziej świata, aktem oskarżenielskim skierowanym przeciwko sobie samemu. Postać ludzka zostaje sprowadzona do roli martwego przedmiotu. Wynika to również z zainteresowania Jerzego Krawczyka reżimem — Tadeusza Kotarbińskiego — poglądem filozoficznym głoszącym, że naprawdę istnieje tylko rzeczy, zaprzeczającemu istnieniu zdarzeń, stosunków, relacji. Istotnie w wielu momentach swojej

twórczości patrzy artysta na otaczającą go przestrzeń rzeczywistości przez pryzmat rzeczy. Obrazy te cechuje specyficzny horror vacui nagromadzonych w nich przedmiotów „wypoczązonych” z dziwnej rekwietywności teatru rzeczy”. Ma to swoje ostateczne konsekwencje w dążności do uprzedmiotowienia również człowieka.

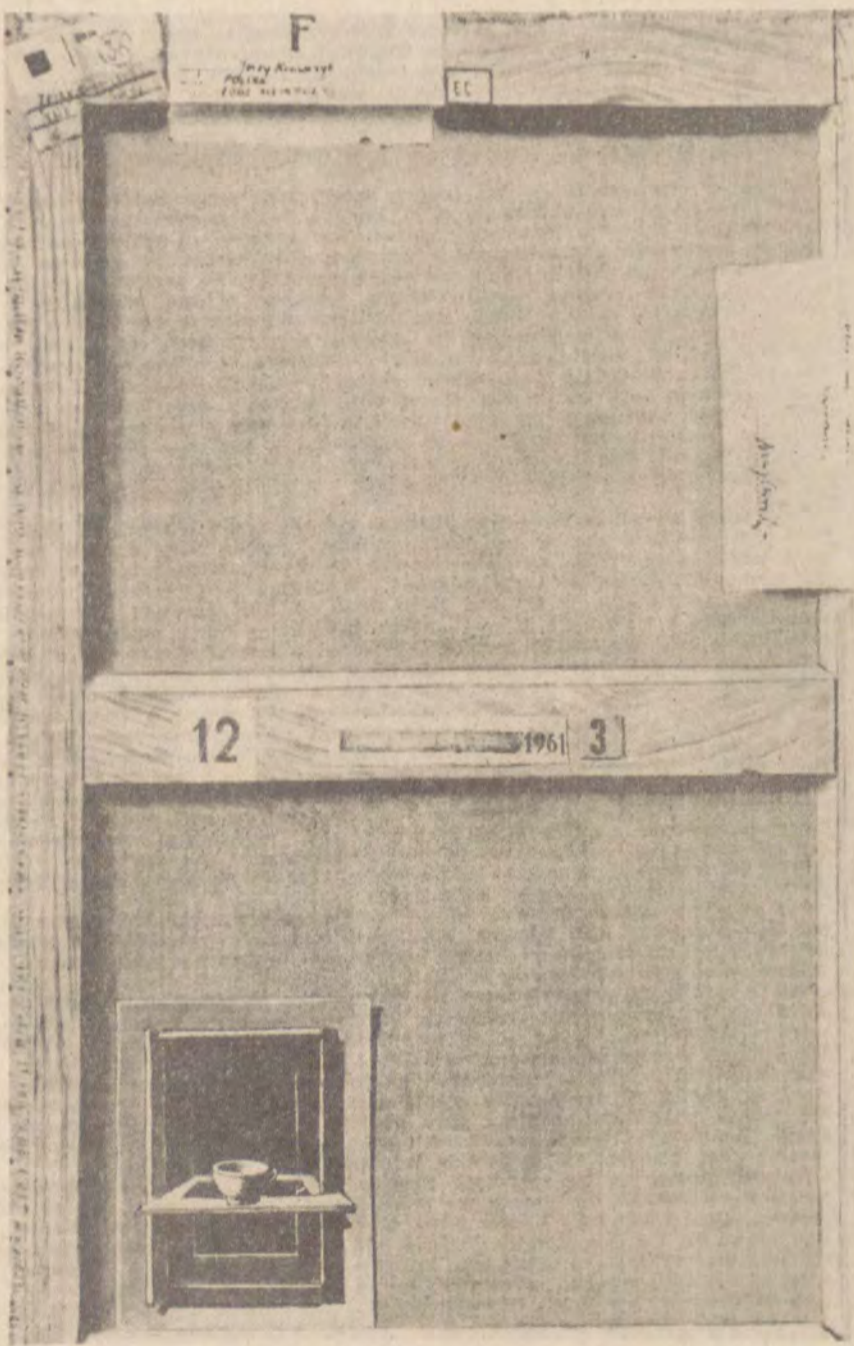
Ostatnie dziesięć lat pracy (1959-1969) to zdecydowanie najciekawszy okres w twórczości artysty. Zaczyna wtedy prowadzić swój dialog z realizmem, aby w końcu zbliżyć się do nie istniejącego jeszcze za jego życia hiperrealizmu. Problemy nurtujące artystów współczesnych spietrzają się w tym malarstwie dochodząc z większą lub mniejszą siłą do głosu. Są tlen, na którym buduje artysta własne wszechświaty przestrzeni malarskiej, rozwiązuje własne problemy formalne. Czując początkowo z doświadczeń surrealistów tworzy Krawczyk nową estetykę „malowanych collage”.

W tym czasie rozpoczyna również swoją malarską korespondencję z dawnymi mistrzami. Znajdąc przekorną osobowość artysty trudno jednoznacznie określić cel jaki temu przyświecał. Fascynacja dawnym malarstwem i szacunek dla dziedzictwa sztuki przerodził się w oskarżenie współczesnej mass-kultury za jej natłokiem ogarniających nas zewsząd mass-medów. Parafraza znane dzieła malarstwa wprowadza nas w złudny nastrój „jarmarczono cudu”, chwilowej fascynacji fałszywym odbiciem rzeczy kryjonych. W tej sytuacji ikony naklejone na drewno wziętym tym samym zyciem co „Gioconda” Leonarda na pudełku czekoladek, a jest to kolejne słowo protestu rzucane masowym srodkiem przekazu które z dzieł oryginalnych zrobiły rzecz wtórną — „konsumpcyjną”.

W tym miejscu należy się zastanowić co było naczelnym problemem tej twórczości tak bogatej i aluzyjnej. Odpowiedź może być jedna — takie zorganizowanie przestrzeni malarskiej płótna, które dołoby możliwość wprowadzenia malarstwa sztalugowego w nowy wymiar przestrzeni rzeczywistości.

Punktem wyjścia stała się możliwość zastosowania w jednym obrazie różnego rodzaju perspektywy. Wykorzystując doświadczenia mistrzów renesansu i baroku w swoisty sposób odwraca zasady organizowania przestrzeni obrazowej. Tradycyjne plany obrazu ulegają zachwianiu. To często „barokowo” zabudowane kompozycje zdają się nie mieścić w zakreślonych im przez obraz ramach. Przestrzeń malarska wychodzi w przestrzeń rzeczywistości. Autentyczna ramka obrazu zastępuje odtąd artysta ramą namalowaną. Osiągnięta w ten sposób duża daje możliwość zupełnie nowej percepcji tego rodzaju malarstwa, które zerwało z dwuwymiarowością płótna wzbogacając ją o nowy trzeci wymiar. Dalejzym krokiem w tym kierunku było wprowadzenie nalepek, napisów, fotografii, zadrutowanych fragmentów gazet, reprodukcji dawnego malarstwa. Znamienne jest to, że przez ten zabieg nie starał się artysta konstruować przestrzeni na zasadach obowiązujących w pop-artie tzn. na wykorzystaniu technik pozamalarskich. Chodziło o stworzenie jeszcze większej iluzji przez użycie tak „ulotnego” materiału jakim jest papier. Wreć ostentacyjna prowokacja widać do sprawdzenia czy „przypięta do ramy obrazu” fotografia reprodukcja wydartą z albumu czy napis wycięty z gazety są naprawdę namalowane. Ale jest w tym także zawarty podtekst filozoficzny, wszystkie napisy nie mają charakteru literackiej narracji stanowią niedwuznaczny komentarz, często okrutny ale też i ironiczny, który wkomponowany w przestrzeń malarską tworzy swoisty rodzaj intelektualno-filozoficzny tragi-komiks.

Sztuka Jerzego Krawczyka stworzona przy pomocy tradycyjnych środków malarskich wyraża subiektywny stosunek artysty do otaczającego go świata, świata w którym dziedzictwo przeszłości weszło w nowy wymiar współczesności. W tym miejscu przychodzi mi na myśl wypowiedź L. Aragona „problemem mojego życia było wyrażenie świata zewnętrznego tego co istniało przede mną i będzie istnieć, gdy po mnie zgine ślad”.



Jerzy Krawczyk — „Kompozycja przestrzenna z filiżanką”

KAZIMIERZ KOWALEWICZ

ODBIORCA SZTUKI WOBEC KRYTYKI ARTYSTYCZNEJ

Analizując procesy komunikacji artystycznej badacze coraz częściej uwzględniają w swych dociekaniach dzieło sztuki w relacji do odbiorcy.

Przysięgając do opisu procesu odbioru dzieła sztuki nie możemy abstrahować od zagadnień wpływu krytyki artystycznej na akt odbioru. Ujęcie takie może być ostatecznie nieporozumieniem, ponieważ; kiedy zazwyczaj rozmawia się o krytyce, ma się najczęściej na uwadze relację: krytyk — twórca (artysta). W tym układzie odbiorca sztuki, jeśli jest uwzględniany, najchętniej przesuwany jest na dalszy plan, albo w ogóle ignoruje się jego obecność, jakby dzieło sztuki do niego nie docierało. A przecież, rozciągając określenie W. Blasta na całą dziedzinę twórczości, można powiedzieć, że ani artyści nie tworzą dla krytyków, ani krytycy nie tworzą dla artystów. Wypowiedź krytyczna, mająca najczęściej za punkt wyjścia dzieło sztuki, kierowana jest w przestrzeń społeczną, zróżnicowaną socjologicznie, wypełnioną w przeważającej mierze przez nie-artystów, nie-krytyków. Oczywiście jest dla nas fakt, że „publiczność krytyków” jest uboższą ilościowo od publiczności określonych dzieł sztuki, tekstów artystycznych. Ale to nie zaprzecza temu, że krytyka jest aktem „mówienia” wobec wszystkich, którzy chcą, lub mogą „dosłyszeć”. Krytyka kierowana jest w otwartą przestrzeń, choć wiele znanych nam mechanizmów ów kontakt „publiczności artystycznych” z krytyką ogranicza. A przecież krytyk mówi o sprawach, które interesują nie tylko twórcę.

Te wstępne uwagi miały na celu

zwrócenie uwagi na konieczność uwzględniania w badaniach odbioru sztuki, w opisie funkcjonowania sztuki relacji krytyka — odbiorca. Należy także zastanowić się nad tym, w jakich rolach może występować krytyk wobec odbiorcy. Powiedzenie, że krytyk występuje w roli krytyka, a odbiorca w roli odbiorcy, nie wyjaśnia jeszcze różnych możliwości zachowań odbiorcy wobec wypowiedzi krytycznych. Swoboda odbiorcy, jako użytkownika tekstu krytycznego jest nieograniczona, a wypowiedź krytyczna ma ograniczone możliwości (błaskie zero) „regulowania” jego zachowań odbiorczych. Intuicyjnie można wyodrębnić kilka możliwych ról, w jakich występuje krytyk wobec odbiorcy. Typologia możliwych zachowań odbiorcy wobec tekstów krytycznych jest oczywiście sprawą otwartą i może w każdej chwili zostać nie zmieniona, to przynajmniej uzupełniona.

Wydaje się, że można mówić o następujących „rolach” krytyka:

1. Krytyk jako informator. Pełni on tę rolę w każdym zasadniczo przypadku „zabrania głosu”, bowiem tekst wypowiedzi krytycznej bierze pod uwagę, bądź dzieło sztuki (artystę, lub grupę dzieł artystów), którą z instytucji życia artystycznego, bądź też informuje o zdarzeniach w świecie krytyki lub zachowaniach odbiorczych masowej publiczności. W bardzo nielicznych przypadkach „konkret” może pozostać poza wiedzą krytyczną. „Zabranie głosu” jest zarazem przekazywaniem informacji z obszaru życia artystycznego. Zazwyczaj wszystkie te informacje krytyk przekazuje od siebie „to ja „krytyk” powiadamiam Was”. Dziś potem informacja wchodzi przede wszystkim „żurnalistyka” stwierdza J.

Chalupecky, w dyskusji o krytyce na łamach „Biuletynu” Związku Polskich Artystów Plastyków.

2. Krytyk — jako uczestnik dialogu. Ta rola należy do repertuaru oczekiwań wobec krytyki. Przerywający milczenie krytyk jest dowodem, że twórca usłyszy „głos” swego odbiorcy, społeczeństwa. Twórca dowie się wówczas, co myśli się o jego pracy, dziele, jak jest przyjmowane, czego się od twórcy oczekuje. Tekst krytyczny jest dowodem na to, że dialog między twórcą a społeczeństwem (odbiorcą) formalnie istnieje. Określona twórczość jest przez społeczeństwo przestrzegana, tekst krytyczny (czasem tylko recenzja) „zakotwicza” artystę we wspólnocie. Dialog jest ciągle ponawiany przez obecność twórcy w świadomości przynajmniej krytyków, a twórca otrzymuje społeczny „obraz swej pracy”.

3. Krytyk — współuczestnik gry (aktor). W tej roli krytyk oraz odbiorcy występują jako współuczestnicy gry, w której różne teksty artystyczne sciera się wzajemnie, próbując narzucić swój świat, swoją „rolę innym odbiorcom”. W owej grze prowadzonej w przestrzeni kultury tekstów artystycznych „gra” odbiorca, krytyk jest jego sobowtórem, choć występującym na pierwszym planie, bo dokonującym ruchu pionkiem. Krytyk jako aktor używa odbiorcy swego ciała, swego głosu, tekstu roli. Wysławia rasze dążenia, wartości, idee. Odbiorca mówi tylko „tak, właśnie tak jest najlepiej”.

4. Krytyka — jako normodawca. Kiedy mówi się, że krytyka współtworzy dzieło, myśli się prawdopodobnie o tym, że krytyka pokazuje normę odbioru, tworzy wzór odbioru. „Odtworzenie tekstu będące dziełem krytyka — myśl odbiorcy — jest najbogatsze, najpełniejsze, pozwoli zrozumieć dane dzieło sztuki, albo pokaże, jakie użytki należy z tego czynić. Nielatwo oczywiście jest współcześnie pokazać, jak te normodawcze zabiegi odbijają się w świadomości artystycznej (estetycznej) ogółu publiczności. Jest to jedno z zadań socjologii sztuki.

5. Krytyk — jako rozmówca. W tym przypadku odbiorca „rozmawia” z tekstem krytycznym „personifikując” tekst analizuje jego racje, przekazuje swoje zdanie. Tekst krytyczny, jego autor, staje się uczestnikiem rozmowy. Rozmowa ma charakter dialogu, który przebiega w płaszczyźnie krytyk — odbiorca. W takiej rozmowie obie strony są uprawnione, mówią pełnym głosem. Krytyk jest tym, który rozpoczyna rozmowę, do niej zaprasza. W rzeczy samej „wypowiedź krytyczna”, może wypierać z pierwszego planu rozmowy dzieło sztuki i nasycać dialog elementami „metakrytycznymi”, w stronę centrum na miejsce dzieła sztuki przesuwa się przekaz krytyczny.

6. Krytyk — jako przeciwnik. Punktem wyjścia dla tej „rol” krytyka może być zarówno płaszczyzna rozmowy, tworzenia normy odbioru jak i płaszczyzna współuczestnictwa w grze artystyczno-krytycznej. Odbiorca nie wyraża w tym przypadku zgody na proponowaną wersję odtworzenia. Jego odtworzenie wchodzi w sprzeczność z odtworzeniem krytyka, możliwy jest konflikt wartości, idei. Reakcja taka może mieć charakter przypadkowy, bądź może mieć tendencję stałą — krytyk „x” jako przeciwnik odbiorcy. Szczególnym przypadkiem może być tutaj chęć pogłębienia interpretacji przedstawienia innej, odmiennej wersji. Krytyk może być kimś, z kim odbiorca próbuje się jakby „zmierzyć” w procesie rozumienia i interpretacji przekazu artystycznego.

7. Krytyk — jako uczestnik spektaklu. Ta „rola” krytyka zbliżona jest do „rol” współuczestnika gry. Gra toczy się jednak w innym otoczeniu, ma charakter jakby „teatralny”, dramatyczny. Medium, którym się tutaj krytyk posługuje, nie jest sztuką słowa pisanego, lecz są techniki pozawerbalne, często tożsame z omawianą dziedziną twórczości. „Akt krytyczny”, „wypowiedź krytyczna” — rozgrywane są, jak spektakl teatralny, mają swoją „dramaturgię”.

8. Krytyk — jako „świadek”. Tego typu „rola” krytyka nabiera szczególnych walorów w dzisiejszych manifestacjach sztuki awangardowej. Odbywające się często w niewielkich salach galerii, pokazy działań artystycznych i para-artystycznych typu „body art”, „sztuka video”, „performance” skupiają przede wszystkim grupę artystów, krytyków oraz wąskie grono sympatyków, znajomych itd. Krytyk — prawie zawsze zapraszany na tego rodzaju manifestacje, jest tym, który będąc świadkiem działań zdaje następnie relację wobec odbiorcy, który z różnych względów nie mógł w nich uczestniczyć. Czasem owo „niedopuszczenie” ma charakter formalny — zapraszani są jedynie krytycy.

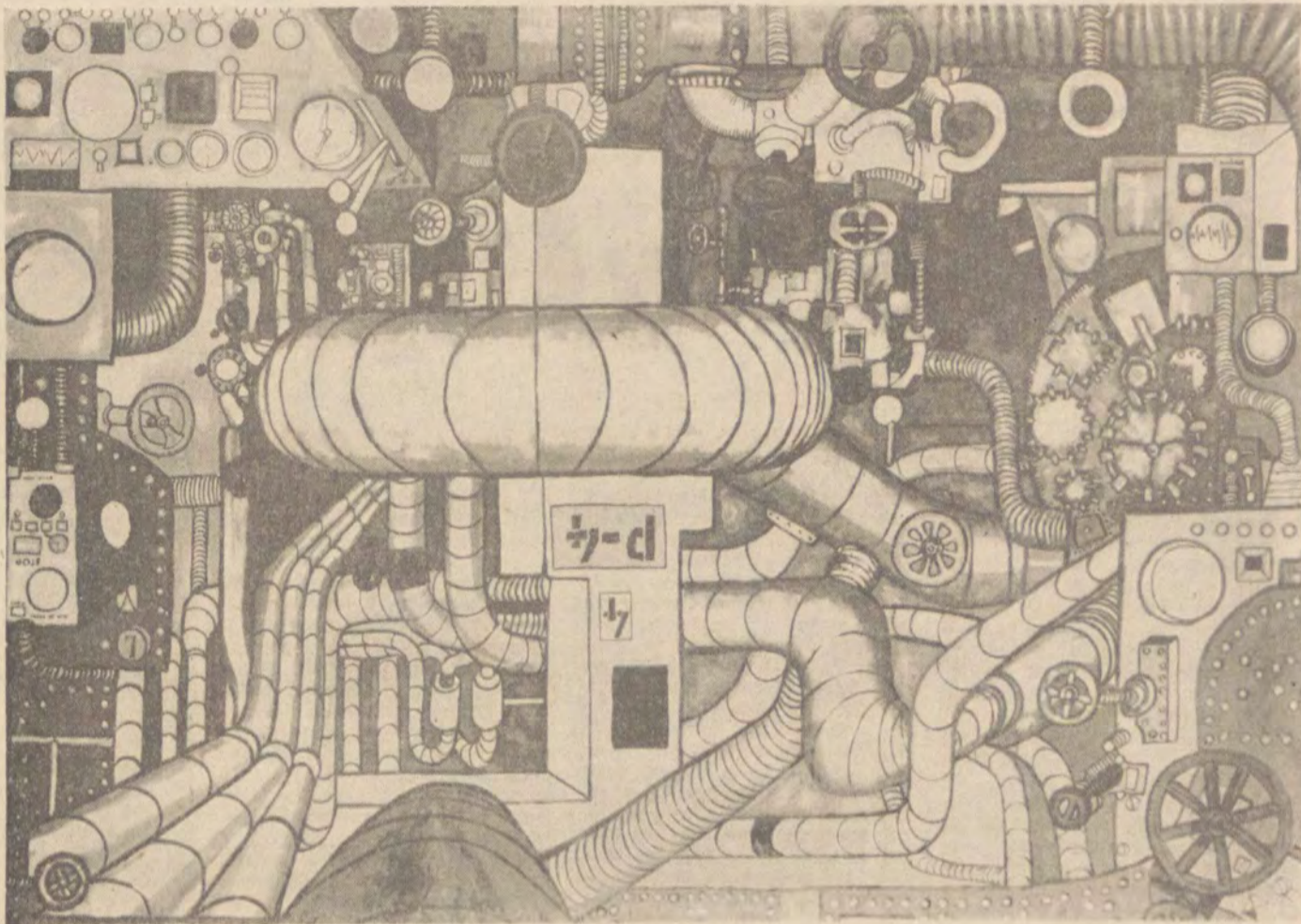
9. Krytyk — jako mitotwórca. Wypowiedź krytyczna może sytuować komunikat artystyczny w specyficznej „konstelacji”, „aurze”. Krytyk jako ten, który mitologizuje dzieło, jego „wnętrze” — wprowadzając w ten sposób dzieło sztuki do odbioru społecznego, bądź poszukuje przesłanek, by je w obiegu utrzymać. Mitologizacje krytyczne są tym, co ma ożywić recepcję dzieła, jego społeczne życie. Odbiorca może takich elementów „mitycznych” poszukiwać, pragnąc tego typu tekstów krytycznych.

10. Krytyk jako „literat”. Tekst wypowiedzi krytycznej może być po prostu czytany „w wolnym czasie” — tracił swe odniesienia przedmiotowe. Wypowiedź krytyczna staje się literaturą, czytana jako wiersz, powieść. Rzeczywistość, do której się odnosi jest bez znaczenia, nie wykracza się poza rzeczywistość — jak fikcja — traktowanego tekstu. W tej

sytuacji „wypowiedź krytyczna prawie do zera jest „wyjałowiona” z treści krytycznych poprzez specyficzny rodzaj odbioru (lektury).

Przedstawione tutaj „role” mogą być efektem odbioru tego samego tekstu. Tekst krytyczny jest niejako „wielogłosowy” i „wielopoziomowy”, pozwala tym samym na różne zachowania. Typologia, jaką powyżej zaprezentowałem pokazuje, że wiele „ról” jest bliskich sobie, niektóre są szczególnymi aspektami innych, są odmiennym położeniem akcentu. Przyjęcie jako płaszczyzny porównania każdej z wymienionych ról wpływa na sposób odbierania przekazu krytycznego. W każdą wypowiedź krytyczną wpisany jest obraz odbiorcy, ale w rzeczywistym zachowaniu odbiorcy ma możliwość ten aspekt idealny zignorować.

Powyżej, mówiąc o krytyce, miało na uwadze tylko pewien obszar „krytyki” — przedmiotem analizy były teksty krytyczne obiegające w trzecim układzie kultury (wg określenia A. Kłoskowskiej). Z konieczności pominięto tutaj krytykę tzw. „mówioną” na spotkaniach, dyskusjach, odczytach w DKF. Nie zajmowałem się także ograniczeniami w funkcjonowaniu krytyki i rozpoznań opinii krytycznej (jak np.: brak wypowiedzi krytycznej jako forma krytyki), zjawiskiem zaprzestania krytyki, ani też „mówiącą krytyką” itp.



Benon Liberski — „Chemostal”



Leszek Różga — „Pejzaż zgierski”.



Barbara Szajdzińska-Krawczyk — „Z przeczony”.

GRAFIKA W ŁODZI

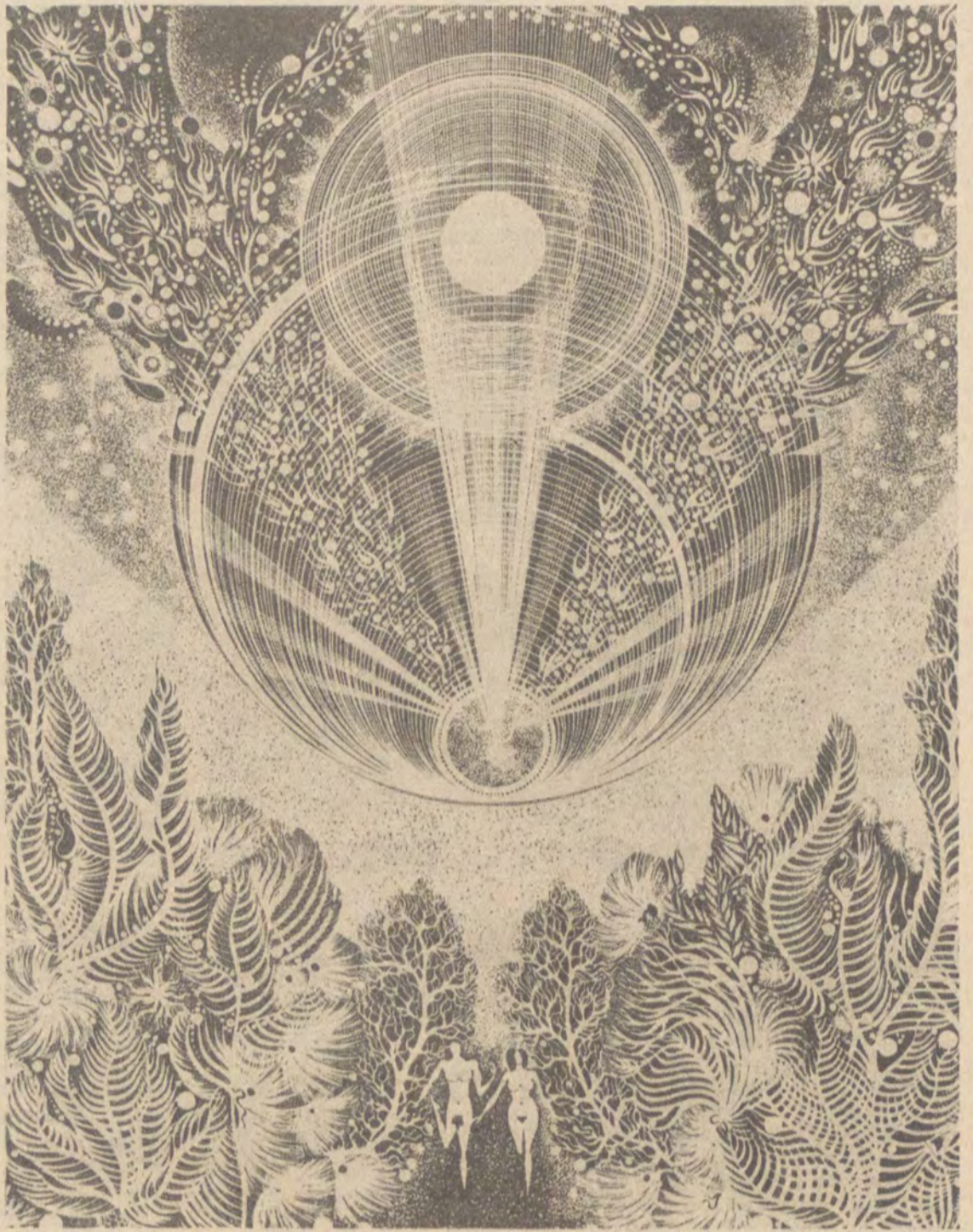
W celu scharakteryzowania pozycji dzieła sztuki w określonej społeczności, istotny jest z jednej strony obraz środowiska, w którym ono powstaje, a z drugiej środowiska w którym funkcjonuje. Mówiąc więc o grafice w Łodzi, chciałbym skoncentrować się nad niektórymi spośród tych zagadnień nie wdając się przy tym jednak w kwestię szczegółowej oceny i analiz formalnych samego przedmiotu.

Od momentu powstania grafiki spełniała rolę „publikatora” aktualnej kultury plastycznej, będąc w swej uproszczonej formie syntetycznym obrazem dążeń artystów danej epoki, bądź spełniając rolę jedynego obok kopii i replik środka popularyzacji wielkich kompozycji malarskich, w obu wypadkach stając się najłatwiej i najpowszechniej dostępnym dziełem sztuki. Od momentu wprowadzenia fotografii sytuacja uległa zmianie. Grafika uwolniła się całkowicie od roli wtórnej w stosunku do malarstwa, stając się w pełni autonomiczną, odmienną wyrazowo techniką artystyczną. W tym samym czasie, w momencie opanowania techniki litograficznej, pojawiła się nowa funkcja grafiki; możliwość wykorzystania odbitek graficznych niemal na skale przemysłowej, dając w ten sposób początek grafice użytkowej. Współczesne możliwości techniczne stworzyły wzrost nieograniczone możliwości w tej dziedzinie dokonując jednocześnie ścisłego podziału na grafikę tzw. „warsztatową”, tj. operującą tradycyjnymi, szlachetnymi technikami, jak np. drzeworyt, miedzioryt czy pozostałe techniki metalowe i grafice „użytkowej”, opierającej się głównie o współczesną bazę poligraficzną. Podział, który zrozumiał się w sferze technicznej, w kwestii zagadnień natury formalnej wydał się świadczyć o pewnym kryzysie grafiki użytkowej. Chlubne tradycje łódzkiej typografii funkcjonalnej dowodzą niezbicie, iż tego typu rozgraniczenie musi być wynikiem stagnacji i konformizmu. Owa granicę coraz częściej przekraczają artyści uprawiający jedynie grafikę warsztatową, korzystając ze współczes-

nych technik poligraficznych, natomiast „użytkowcy” tkwią najczęściej w intelektualnych schematach, powielając od lat utarte wzory, a przecież rodzaj ich pracy wcale nie zwalnia ich od obowiązku intelektualnego wysiłku odnajdywania najbardziej indywidualnej i adekwatnej celowi formy. Wyjątek w dziedzinie twórczości plakatowej jest wynikiem specyficznego podejścia do tego zagadnienia; traktowania go na pograniczu twórczości warsztatowej i użytkowej. Natomiast o wiele gorsza sytuacja panuje w dziedzinie książki, czasopiśmie nie mówiąc już o drukach akcydensowych. Do rzadkości należą książki, których opracowanie graficzne byłoby plastycznym równoważnikiem koncepcji literackiej. W tej dziedzinie sytuacja w Łodzi nie odbiega od przeciętnej na terenie kraju, ale zjawisko to jest tym bardziej zastanawiające jeśli zważymy liczebność łódzkiego związku oraz fakt, iż Łódź jest ośrodkiem kształcenia specjalistów w tej dziedzinie. Oczywiście istnieje kilka indywidualności, że przytoczę tu dla przykładu na przykład S. Labeckiego i B. Ballokiego, nie jest w stanie zmniejszyć oceny sytuacji, bowiem obecność innych twórców jest prawie nie zauważalna. Oczywiście dzieje się tak po pierwsze dlatego, że masowa produkcja utrzymuje się na poziomie przeciętności, dwa, że nowe koncepcje mają stosunkowo małą szansę zaprezentowania się. Należy przy tym silnie podkreślić fakt istnienia nielicznych „dzikiej” działalności artystów działających pod patronatem instytucji do niedawna posiadających carte blanche plastyczną w swej działalności wydawniczej, praktycznie nie podlegających żadnym rygorom oceny poziomu swojej produkcji, co z kolei w znacznej mierze utrudnia opanowanie sytuacji wobec której ZPAP pozostawał bezradny. W związku z tym nienormalnym stanem rzeczy obecna Rada Artystyczna Sekcji Grafiki ZPAP, w oparciu o zarządzenia centralne postawiła sobie za cel dokonanie choćby częściowej poprawy warunków. Pierwszym radykalnym posunięciem ma być nawiązanie ścisłej współpracy z instytucjami prowadzący-

mi działalność wydawniczą; z Wydawnictwem Łódzkim, z przedsiębiorstwami produkcyjnymi, handlowymi, usługowymi, które z kolei mocą zarządzeń centralnych obowiązujące są do każdorazowej konsultacji plastycznej projektów z rzeczoznawcami typowanymi przez związek. Inną inicjatywą rady, bezpośrednio dotyczącą członków związku, a mającą na celu mobilizację twórców parających się grafiką użytkową, jednocześnie pozwalającą na stałą konfrontację ich osiągnięć, mają być cykliczne konkursy i wystawy o charakterze lokalnym i ogólnopolskim. Pozwoli to ponadto wychylić najciekawsze indywidualności i stworzyć im możliwość atrakcyjnego startu. Inauguracją tego typu działalności będzie przygotowywana wystawa dotychczasowych osiągnięć Graficznej Pracowni Doświadczalnej ZPAP, wystawa o charakterze retrospektywnym, związana z jubileuszem istnienia pracowni, która w dziejach typografii łódzkiej ma swoją dobrą tradycję. Przypomnienie działalności tej placówki będzie jednocześnie znakomitą okazją do dokonania analizy stanu obecnego i pewnych modyfikacji w zarządzaniu i profilu działalności tejże placówki, w celu przywrócenia jej założonego wcześniej doświadczonego charakteru. Innym ważnym punktem programu aktywizacji środowiska jest przygotowywana impreza o zasięgu ogólnopolskim a mianowicie do dwu- lub trzydniowy konkurs na plakat kulturalny, z rozgranieniem na poszczególne sekcje tematyczne. Jak wspominałem wcześniej, tu sytuacja jest najlepsza, wobec czego należy oczekiwać interesującej ze wszech miar konfrontacji, która powinna znaleźć żywy oddźwięk nie tylko wśród twórców, ale co jest sprawą niezwykle ważną, wśród społeczeństwa naszego miasta. Wiadomo jest, że plakat cieszy się dużą popularnością kolekcjonerów, a jak dotąd publiczność łódzka miała rzadkie okazje kontaktu z tym rodzajem twórczości plastycznej. Warto może wychodzić naprzeciw zainteresowaniom już istniejącym pomysłowo o stworzeniu właśnie przy okazji owego biennale czy triennale punktu sprzedaży plakatów eksponowanych na wystawie, a także plakatów twórców łódzkich. Poruszając już zagadnienia kolekcjonerstwa należy zasygnalizować potrzebę istnienia placówki, która by systematycznie prowadziła dokumentację tej gałęzi twórczości artystów łódzkich, co z kolei stworzyłoby z jednej strony niezbędną bazę do badań nad kulturą materialną miasta, a z drugiej, stanowiło potwierdzenie i usankcjonowanie wagi poruszanych tu tematów. Oczywiście, wymaga to osobnej analizy i omówienia, jednak wydaje się konieczne zasygnalizowanie istnienia samego problemu.

Nieco inne problemy rysują się w związku z grafiką warsztatową. Jest ona równocześnie, samodzielnym środkiem wypowiedzi artystycznej, nie krepowanej żadnymi względami utilitaryzmu. Jednak i tu pragnąłbym powstrzymać się od uwag o charakterze formalnym czy ideowym, a skoncentrować się nad niektórymi, instrumentalnymi aspektami funkcjonowania tego rodzaju przedmiotów sztuki. Już z racji swych „fizycznych” właściwości; niewielkiego formatu wymagającego kameralnych warunków odbioru, stosunkowo dużej ilości obiektów wynikającej z zasady multiplikacji, łatwości przechowywania i wreszcie, co dla potencjalnego kolekcjonera jest atutem istotnym, stosunkowo niskiej ceny, grafika w dzisiejszym społeczeństwie winna stać się najbardziej masowym dziełem sztuki, rozumianym nie jako przedmiot dekoracyjny, ale jako nośnik treści intelektualnych, kolekcjonowana jak książki, czasopiśma, płyty. Tymczasem wystawy graficzne i grafika jako przedmiot handlu okazują się najmniej atrakcyj-



Henryk Piłciennik — „Zachód słońca”.

ne. „Ex libris” jako znak graficzny, niewielka kompozycja artystyczna, mogąca z powodzeniem wychodzić z warsztatu zarówno „warsztatowca” jak i „użytkowca” stał się formą niemal zupełnie zapomnianą, uprawianą w kategoriach „sztuki dla sztuki”. Oczywiście powodów tego stanu rzeczy może być wiele, chciałbym jedynie zwrócić uwagę na przyczyny czysto techniczne; na fakt niemal publicznej nieobecności grafiki w Łodzi, co w konsekwencji powoduje brak społecznego zainteresowania i na zasadzie sprzężenia zwrotnego demobilizację samych twórców. Sporadyczne wystawy monograficzne, doroczny „obowiązkowy” przegląd, nie mogą stanowić bazy dla rozwoju wzajemnych kontaktów artysty i odbiorcy, nie są w stanie rozbudzić zainteresowania tak z pozoru mało spektakularną dziedziną twórczości.

Zdają sobie z tego sprawę obecne władze związku. Rada Artystyczna Sekcji Grafiki podjęła inicjatywę zmierzającą do zwielokrotnienia imprez graficznych w naszym mieście. Ogólnopolski konkurs grafikę zostanie uzupełniony przemienionymi konkursami kwartalnymi o zasięgu lokalnym na grafikę i rysunek, połączonymi również z wystawami. W opracowaniu jest projekt zorganizowania cyklicznej, ogólnopolskiej wystawy grafiki warsztatowej małych formatów. Inicjatywy te będą na pewno stanowiły z jednej strony, poprzez możliwość stała konfrontację, bodziec dla samych artystów, z drugiej stworzą publiczności możliwość systematycznego zapoznawania się z aktualnymi osiągnięciami łódzkich artystów i stałego śledzenia pozycji łódzkiego środowiska na tle dokonanych innych ośrodków w kraju, co powinno w dużej mierze przyczynić się do bardziej znaczącego i trwałego wejścia grafiki w system kulturotwórczy naszego miasta. Ponadto, Biuro Wystaw Artystycznych w ramach stałych pokazów monograficznych dostarczy zapewne sporo interesującego materiału do poznania całokształtu dorobku poszczególnych artystów, co stanowi podstawowy warunek zrozumienia intelektualnych postaw manifestujących się wrywkowo w pojedynczych pracach. I wreszcie powstały niedawno w Muzeum Sztuki Dział Nowoczesnej Grafiki i Rysunku ze swej strony prowadząc stałą działalność ekspozycyjną umożliwi zapoznanie się z pewnymi specjalistycznymi zagadnieniami grafiki i rysunku XX wieku, w oparciu o dzieła artystów po-

skich i zagranicznych, co powinno spotkać się z zainteresowaniem zarówno artystów jak i miłośników grafiki.

Wszystkie te poczynania za pewnia jedynie bazę autentycznego funkcjonowania dzieła, które musi być rozbudzone i poparte działalnością informacyjną, publicystyczną o charakterze krytycznym i polemicznym, i wreszcie, stworzenie stałej płaszczyzny, ośrodka, forum bezpośredniego kontaktu twórcy i odbiorcy, w którym — nie bojąc się tego określenia — handlowano by sztuką — grafiką, gdyż kwestia rynku zbytu, odpowiednio obrotu i operatywnego, pozabawionego niesmiertelności powagi świątyni jest jednym z warunków prze-

niknięcia sztuki do współczesnego życia. Często dopiero ściana własnego pokoju zapewnia właściwe warunki odbioru grafiki, do której możemy zawsze powrócić mając ją obok siebie, tak jak do ulubionej książki.

Niezmiernie ważną działalność Muzeum Sztuki, Biblioteki Uniwersyteckiej, Biura Wystaw Artystycznych, prowadzące systematycznie zbiory łódzkiej grafiki tworzące już spore kolekcje, spełniają swoją rolę, ale jest to rola nieco inna od tej jaką odgrywa szlachetna pasja, nawiązywanie kolekcjonerstwa nieprofesjonalnego, niezbędna w rozwoju kulturalnym każdego społeczeństwa, rola aktywnego uczestnictwa w społecznym życiu artystycznym.



Stanisław Fijałkowski — „Na cześć Bartoka”.



Waclaw Kondek — „Czarny Anioł”.

SIERADZ

Województwo sieradzkie to region rolniczy i w coraz większym stopniu ośrodek przemysłu. Ale także prawdziwe zagłębie sztuki ludowej. Znana prawdę płynąca z wielowiekowej tradycji i prowadzonej tu właściwie opieki nad twórczością regionalną potwierdził z pełnym blaskiem II Festyn Sztuki Ludowej i Folkloru Województwa Sieradzkiego. 2, 3 i 4 września rozgrywała się na rynku, w amfiteatrze i hali sportowej impreza, w której koncert następował po koncercie, zespoły przewijały się na estradach jeden za drugim jak w barwnym korowodzie. Cepeliada przy udziale twórców prezentujących swój warsztat połączona z kiermaszem była niepowtarzalną okazją spojrzenia za kulisy folkloru, konfrontacji jego „cepeliowskiego” i codziennego wydania.

Festyn ściągnął do Sieradza tłumy gości, fotoreporterów, dziennikarzy poszukujących motywów na okładkę i do niedzielnego wydania „Wieczoru z Dzien-

nikiem”, ale także zwykłych turystów, miłośników krajobrazu i folkloru — o które coraz trudniej w panoramie współczesnej Polski. Bowiern sieradzkie festyny wydają się właśnie przeczyć tej nieuchronnej prawdzie i sentymentalizmem wlewają do serc łyżki miodu.

Roztańczone i rozśpiewane dni były powszechnym świętem masowej kultury. Ku zaskoczeniu niektórych, nie tej w wydaniu telewizyjno-plotowym (choć momentami unosił się nad rynkiem refrenik „Kolorowych jarmarków” Janusza Laskowskiego) ale tej, która jest własnością wszystkich, choćby na zasadach chwilowego poddania się urokowi... Pojęcie kultury masowej może również oznaczać — jak to potwierdziło się podczas Festynu — współuczestnictwo całego miasta w jego wielkim święcie.

Przyglądali się uważnie Festynowi artyści zaproszeni na II Sieradzki Plenier Plastyczny. Ma on w swoim tytule hasło „Portret

województwa — Portret Sieradza”.

Obraz sieradzkiego regionu na pewno można już dzisiaj malować w jasnych, żywych kolorach — jak z wiejskiej chustki czy kilimu. Sieradz potrafi pracować i świętować na całego. Jeśli nawet folklor jaki oglądaliśmy podczas festynowych dni był już trochę nieautentyczny (lub jak kto woli — inspirowany) to i tak pomysłodawcy zasłużyli sobie na ogromny szacunek i podziw. Jest w Sieradzanach jakaś autentyczna pasja, mająca wartość siły przyciągania. Kto raz był tu na Festynie — z pewnością wróci za rok. Wiele się przez ten czas zmieni w samym Sieradzu, może już miejsca w kramikach Cepeliady zajmą młodsze koronkarki i wycinankarki... Ale „Sieradzkie wesele” zawsze warto obejrzeć i w ogóle warto tę piękną ziemię odwiedzać jak najczęściej!



Na Cepeliadzie twórcy ludowi prezentowali swoje warsztaty

A.M.



Ludowe malarstwo cieszyło się dużym zainteresowaniem



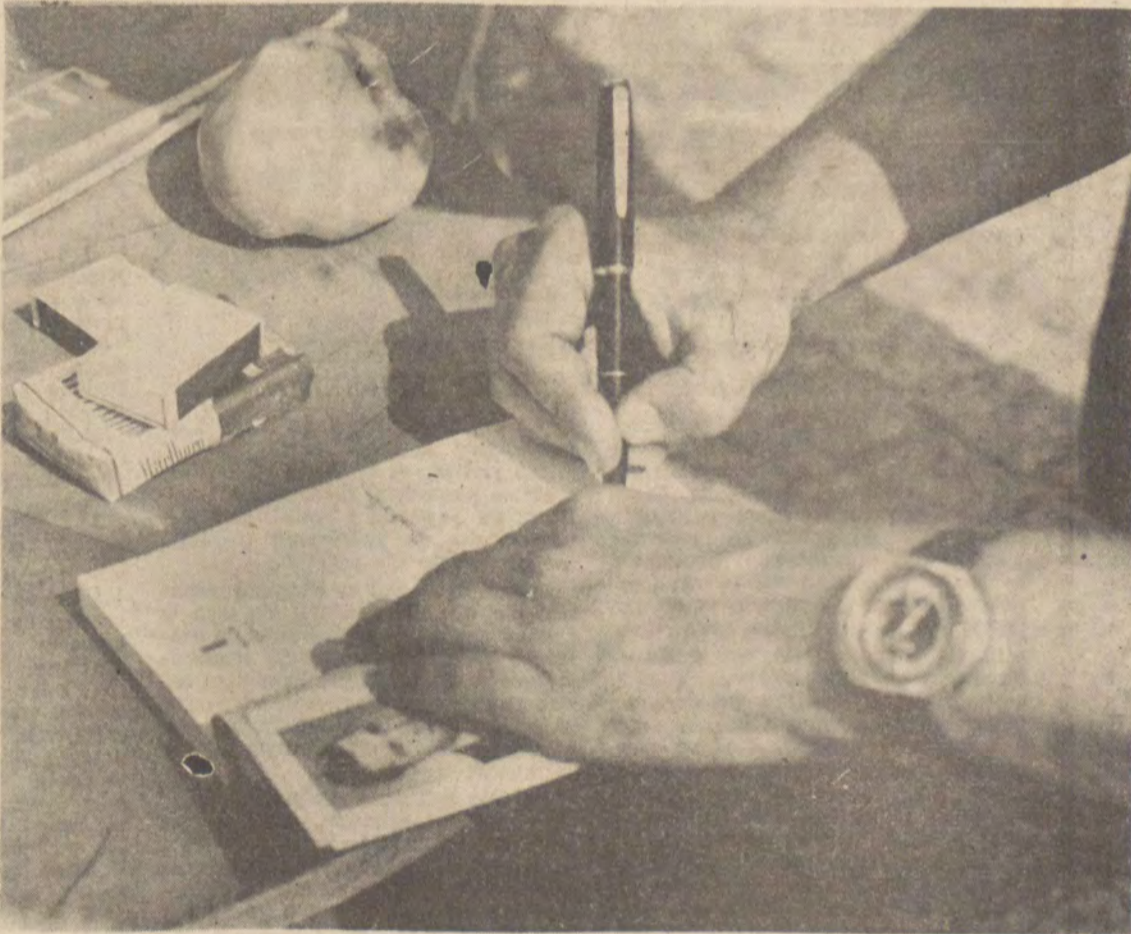
Rzeźba Jerzego Kaczmarka — twórcy ludowego z Sieradzkiego



Występ zespołu folklorystycznego



Fragment wystawy pokonkursowej „Sztuka ludowa województwa sieradzkiego”



Łódzcy pisarze podpisywali na kiermaszu swoje książki



Na sieradzkim rynku grała kapela...

DOBRE USŁUGI

Jak zapobiec negatywnym skutkom recesji w dużych przedsiębiorstwach? Co zrobić, by zamówienia nie spadały, a zyski z dywidendy wzrastały? Mister Nicholas Lamb z Genewy radzi akcjonariuszom zatrudnić sprawnych, rzutkich, energicznych i światłych menedżerów. Wszyscy od tego zależy — twierdzi mister Lamb — kto firmę kieruje, Kto podejmuje te najważniejsze decyzje. Kto podpisuje te najistotniejsze papiery. Jaki menedżer — taka firma — dowodzi mister Lamb.

Pan Lamb jest prezydentem europejskiej filii amerykańskiego przedsiębiorstwa „Boyd International” z siedzibą w Nowym Jorku. Przedsiębiorstwo wielce jest charakterystyczne. Powołana je do życia potrzeba. Otóż po całym świecie szuka się obecnie menedżerów z prawdziwego zdarzenia. Szuka się ludzi o wielkiej wiedzy, dużym doświadczeniu, nieugiętym charakterze i wielkiej prócz tego intuicji. Szuka się ludzi z talentem, którzy by potrafili wprowadzić ten interes z recesji, z zastój, na wczesne i szerokie wody ponownej prosperity. Wszędzie się takich ludzi szuka. W obu Amerykach. W Europie. W Japonii.

„Boyd International” to przedsiębiorstwo, które pośredniczy. Żyje z dobrych usług. Zajmuje się wyszukiwaniem uzdolnionych ekonomistów, inżynierów, prawników, którzy by mogli poprowadzić sprawą ręką produkcyjne giganty, co osiadały na mieliznie recesji. „Boyd International” dysponuje kartoteką. Umieszcza się w niej dane o pięćdziesięciu tysiącach ludzi o nieprzeciętnych walorach osobistych. To ta menedżerska czołówka. To pierwsza międzynarodowa liga międzynarodowego kapitału.

Pan Lamb często brwi unosi do góry i kiwa ze smutkiem głową. — Sorry — powiada — ale wcale nie tak dziś łatwo o dobrego menedżera. Proszę uzbroić się w cierpliwość. Szukamy...

No, tak, sprawa jest jasna. Co lepszy menedżerowie od dawna już usadowili się na co lepszych posadach. Co dobre jak oliwa zawsze na wierzchu wypływa. Po drugie ta niepewność. Nikt właściwie nie wie, co niesie za sobą dzień jutrzejszy. Owszem, można by ewentualnie zaryzykować i objąć funkcję szefa kosmetycznej firmy w Kolonii. Ale jakie firma daje gwarancje? Poza tym zarobek musiałby być o trzydziści procent wyższy od dotychczasowego. W innym wypadku nie ma o czym mówić. Wiadomo jak to dziś jest. Wszędzie obowiązują zasady „hire and fire”, dziś pracujesz, jutro wylatujesz. Więc i zabezpieczenia przed ryzykiem są konieczne.

Strach przed jutrem paraliżuje decyzje.

Rzeczywiście dobrzy menedżerowie niechętnie zmieniają dziś miejsca pracy. A kiepskich menedżerów nikt znów sobie nie życzy. Najlepsi z nich szukają. Najgorsi z nich dobijają. Więc „Boyd International” zarzuca swe sieci na wszystkie liście się ośrodki przemysłowe zachodniego świata. Wciąż szuka się ludzi z inicjatywą, żyłką, ludzi obdarzonych umysłem analitycznym, chłonnym, ludzi o wybitnej jak McNamee pamięci. Szuka się poniekąd komputerów na dwóch nogach. Nikogo już dziś testy nie obchodzi. Nikt już się tym nie interesuje, co kto odczytuje z atramentowego kleksu rozlanego na białym papierze. Praktyka się liczy. Sukces. Jak ktoś odnosi w życiu sukcesy to znaczy, że jest dobry, jest na poziomie, jest taki jakiego się szuka. Zycie jest najlepszym sprawdzianem umiejętności. Cała reszta to czysta teoria i zwykłe jedynie domniemania.

W ogóle obserwuje się zwrot w Stanach Zjednoczonych. Pod wpływem szoku wywołanego pierwszym sputnikiem, wyższe uczelnie Ameryki na gwałt zaczęły preferować nauki ścisłe. Na plan pierwszy wyszła fizyka, matematyka, chemia. Od pewnego czasu nawiąże się zwrot. Młodzież amerykańska zaczyna się gnać do greki, do łaciny, do wielkiej humanistyki, tej wielkiej starożytności. Nie chcemy wsiadki choć wybitnych specjalistów — powiada w „Boyd International” — którzy pod względem kultury osobistej są barbarzyńcami.

Rzecz ciekawa, „Boyd International” szuka ludzi o dużej kulturze. Jeszcze uważa, już na marginesie. Czasy cudownych młokosów bezpocześnie minęły. Czasy kultu młodzieńczej namiętności do zamierzającej już poniekąd przeszłości. Górę wzięła szkoła japońska, gdzie im kto starszy, tym wyższą piastuje funkcję. Czasy „Whizzkids” cudownych dzieciaków, którym powierzono dyrektorskie stanowiska przemienię z wiatrem. Menedżerem z prawdziwego zdarzenia może być wyłącznie człowiek, który przekroczył czterdzieści pięć lat i dochodzi do lat pięćdziesięciu. Innych „Boyd International” nie szuka. Nie jest nimi zainteresowany.

Nie tylko wykształcenie, ale i doświadczenie — to jest para koni, która ten wóz ma pociągnąć i z recesji wyprowadzić na szerokie wody przy pomocy menedżerów tej najwyższej klasy. Ano, zobaczymy...

JAN BĄBIŃSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

Trudno teraz, orzec, na ile wewnętrzna siła tego kraju i brak stabilizacji politycznej wpłynęły w przeszłości na jego kolejne porażki w rozgrywkach z sąsiadami, w jakim zaś stopniu owe przegrane wojny przyczyniły się właśnie do nader częstych, gwałtownych zmian rządów w La Paz. Zapewne jednak przyczyny i skutki uzupełniały się wzajemnie. To dziedzictwo słabego, najmniej ustabilizowanego politycznie kraju na całym kontynencie, przetrwało do naszych dni. Jeszcze w końcu dekady lat 60-tych rządy — oczywiście wojskowe — zmieniały się w Bolivi

co kilka miesięcy. Przedostatni — jak dotychczas — prezydent tego kraju, gen. Juan Jose Torres, rządził niespełna rok: od 7 października 1970 do 20 sierpnia 1971 roku. Jego słaby, acz umiarkowanie postępowy gabinet, miał się między naciskami lewicy domagającej się ustanowienia w Bolivi ustroju socjalistycznego, a presją skrajnej prawicy gotowej do poparcia wyłącznie surowych, dyktatorskich form ustrojowych. Nieliczna boliwijska klasa robotnicza, wraz z lewicującą młodzieżą stanęła wprawdzie w obronie rządu Torresa. Na nic to się jednak zdało. Po dwudniowych krwawych walkach, jakie rozegrały się w dniach 20 i 21 sierpnia 1971 r., głównie w La Paz, było kilkuset zabitych i wielu rannych. Na czele zamachowców, którzy bezwzględnie stłumili wszelkie przejawy oporu, stał gen. Hugo Banzer Suarez. On to skończył już właśnie swój szósty rok na fotelu prezydenta Bolivi, co nie udało się żadnemu z jego poprzedników.

Jakkolwiek oceniać sam ówczesny zamach oraz rządy Banzera z perspektywy tych sześciu lat, jego prezydentura stanowi swoisty ewenement w dziejach Bolivi. W sierpniu 1971 r. absolutnie nikt nie przypuszczał, że Banzer zdoła utrzymać się u władzy tak długo. Zapewne i on sam nie był wówczas takim optymistą. Musiał się przecież liczyć z tym, co było niemal regułą w jego ojczyźnie: będąc jednego dnia zwycięzcą w zbrojnej walce o władzę, przed czy później, był narażony na upadek i spełnienie roli pobitego, w jakimś kolejnym przewrocie.

Przebywając w La Paz we wrześniu owego 1971 roku, wraz z Boliwijskimi oraz innymi zagranicznymi obserwatorami zadawałem sobie wówczas pytanie: kto będzie następcą Banzera, a przede wszystkim — jak szybko jego urząd upadnie? Wątpliwości budziła pierwsza część pytania, druga natomiast wydawała się kwestią bezsporną: rząd Banzera — biorąc pod uwagę obfitującą w przewroty historię Bolivi — mógł przetrwać miesiąc, kwartał, powiedzmy rok... Tenże jednak człowiek, którego przypadek zmienił z generała w polityka, potwierdził, że każda reguła ma wyjątek. I jeśli przebrnąć przez niemałe kłopoty, jakie pięturyły się przed nim w ciągu minionych sześciu lat, teraz ma już chyba szanse przetrwania na stanowisku prezydenta do czasu, gdy sam zechce z niego ustąpić.

Wspomniane kłopoty Banzera były w rzeczywistości i wyimaginowane. Zwłaszcza w latach 1972—74 z La Paz wielokrotnie donoszono o próbach spisku przeciwko Banzerowi. W większości próby te faktycznie były podejmowane przez wyższych oficerów, którzy do pewnego czasu wspierali Banzera, później jednak nadchodzący moment, kiedy zachęcani przyklądami z historii własnej ojczyzny,

i pod wpływem osobistych ambicji, ryzykowali dotychczasowe kariery, organizując grupy spiskowe. Kto ze spiskowców nie zginął podczas likwidacji ognisk buntu, to osiadł w więzieniu. Nieliczni tylko zdołali uciec za granicę. Panuje jednak zgodne przekonanie wśród obserwatorów boliwijskiej sceny politycznej, że sam reżim niejednokrotnie rozpuszczał pogłoski o rzekomych spiskach, aby koniecznością ich zwalczania usprawiedliwić antyludowe represje. Te zaś były skierowane nie tylko przeciw autentycznym czy wyimaginowanym buntownikom w wojsku, ale przede wszystkim przeciw komunistom, aktywistom związkowym i studentom, i innym postępowym elementom,

partiami. W rzeczy samej, ani MNR, ani Falanga, nigdy nie miały w rządzie Banzera wiele do powiedzenia, współpracując z nim do czasu, stały się tylko — na dłuższą metę bezskutecznie — utrzymać się na powierzchni życia politycznego w Bolivi.

W miarę upływu lat reżim Banzera stabilizował się jednak stopniowo. Mocniejsza dyktatura wojskowa niż poprzednie zachęcała zagraniczne ośrodki imperialistycznego kapitału do udzielania jej większego wsparcia finansowego, niż to było udziałem np. poprzedniego rządu Torresa. Gospodarstwo, Bolivi zaczyna wykazywać nieco większą dynamikę rozwoju produkcji. Nadal jednak należy do

reżimu wojskowego poszły w zapomnienie. Jednakże nie godzą się one z utrwaleniem obecnego reżimu bezterminowo.

Gen. Hugo Banzer (awansowany właśnie niedawno, w końcu lipca, do stopnia generała broni), wydaje się, że rozumie potrzebę dokonania jakichś zasadniczych zmian politycznych. Po wcześniejszych, bardzo jeszcze ogólnikowych napomknięciach, w połowie czerwca bieżącego roku zapowiedział, iż w 1980 r. w Bolivi zostaną przywrócone rządy konstytucyjne. W miesiąc później ujawnił nieco więcej ze swych koncepcji dotyczących położenia kresu wieloletnim rządóm silnej ręki. Przemawiając w Sucre (oficjalnej stolicy Bolivi), oświadczył, iż lata 1978—79 będą okresem „instytucjonalizacji”, który poprzedzi w 1980 r. wybory parlamentarno-prezydenckie i ustanowienie gabinetu cywilnego. Banzer zastrzegł przy tym, iż nowy parlament „nie może pograć się w demagogicznych dyskusjach”, lecz musi pracować efektywnie, i operatywnie, rozstrząsając wszelkie problemy kraju. Oznajmił także, iż Bolivi potrzebuje „nowej demokracji”, nie kopiującej żadnych innych wzorów, lecz bazującej na specyficznych cechach i warunkach tego narodu. Mówił również wiele o konieczności poszanowania praw ludzkich i obywatelskich, jak i o trosce jego rządu o sytuację bytową mas pracujących, akcentując, iż w nowym ustroju wszyscy obywatele powinni mieć zapewnione równe prawa pełnego uczestnictwa i pełnego rozwoju.

Do początku zapowiedzianego przez Banzera okresu „instytucjonalizacji”, już blisko. Zainteresowane koła polityczne w La Paz przyjęły jednak kolejne wystąpienia prezydenta w tej sprawie, z dużą dozą sceptycyzmu. Zarówno były prezydent Adolfo Siles Salinas, jak i Raul Lema Patino — przywódca MNR, jak również lider Falangi — Jaime Ponce Caballero wyrazili zainteresowanie perspektywą przywrócenia demokracji, zażądali jednak od rządu konkretnych czynów w miejsce dotychczasowych, czczych deklaracji. Nie dowierzają oni szczerości intencji prezydenta, a po drugie — perspektywa trzech lat nie w pełni zaspokaja ich dążenia. Obie wymienione partie, jak i wielu działaczy (pozbowionych wprawdzie dawnych funkcji, ale pomimo to nieraz, zwłaszcza w ostatnich miesiącach, wypowiadających się publicznie), domaga się bowiem wcześniejszego przywrócenia swobód politycznych i odnowy demokratycznych instytucji. Zwłaszcza Falanga wypowiada się za potrzebą zwolnienia bez zwłoki zgromadzenia konstytucyjnego, celem opracowania nowej konstytucji kraju. Niektórzy działacze chcieliby ogłosić wybory już w roku przyszłym, co Banzer stanowczo odrzuca.

Część opozycji boliwijskiej, zwłaszcza koła najbardziej radykalnie przebiegające na emigracji, traktuje całą sprawę jako zwykły manewr Banzera. Niektórzy widzą w tym próbie utrwalenia przez niego swej władzy, tylko pod płaszczykiem parlamentaryzmu (jak to ma miejsce np. w stressenrowskim Paragwaju). W sumie — za mało jeszcze jest znanych elementów banzerowskiej koncepcji, aby ją w pełni ocenić i wnioskować, kiedy i jak ukształtuje ona przyszłe losy Bolivi.

Perspektywy dalszego utrwalenia względnego spokoju w La Paz — na razie są niejasne.

RYSZARD GINALSKI

TRWAŁY POKÓJ W LA PAZ?

które nie mogły się pogodzić z wojskową dyktaturą.

Także klasa robotnicza Bolivi, zwłaszcza zaś górniczy z kopalni cytry — stanowiący najbardziej bojowy oddział proletariatu tego kraju — nekali obecny reżim wielokrotnie strajkami. Akcje te z reguły prowadziły do dalszych przesładowań organizatorów i aktywistów. Dawaly one jednak świadectwo, że naród Bolivi nie pogodził się z despotycznymi rządami, że nie rezygnuje z walki o swe prawa.

Rząd Banzera w początku swego istnienia chętnie korzystał z formalnego wsparcia, udzielanego mu przez dwie główne siły polityczne kraju: Boliwijską Falangę Socjalistyczną (FSB) oraz Nacjonalistyczny Rewolucyjny (MNR). Wprawdzie reżim powstał w wyniku zbrojnego przewrotu, jednak nadawało mu to pozory autentycznego wsparcia społeczeństwa. Niewczesny sojuszyści zwołującej ogólni Falangi oraz MNR (który powstał na fali populistycznych tendencji, zbliżonych do argentyńskiego peronizmu), z wojskiem, związał się jednak jesienią 1974 r., kiedy to Banzer zlikwidował fikcyjną „koalicję rządzącą” armii, z obiema

najuboższych krajów kontynentu. W Pakcie Andyjskim jest w dalszym ciągu najsłabszym partnerem. Bieda i zacołanie są jeszcze smutnym udziałem znacznych sektorów tego słabo zaludnionego, zaledwie 5,5-milionowego kraju. Takie wskaźniki, jak pierwsze miejsce w Ameryce Łacińskiej pod względem śmiertelności, trzecie miejsce w zakresie stopy urodzeń oraz najniższy w tej części świata średni wiek Boliwijszyka, wymownie ilustrują bardzo jeszcze niski poziom rozwoju społecznego tego kraju. Dodając do tego nader skromne środki przeznaczone przez tułszy rząd na oświatę (12 dol. rocznie na mieszkańca, co nawet w Ameryce Łacińskiej stawia Bolivi na jednym z ostatnich miejsc), trudno sobie wyobrazić, aby Boliwijszyki jako naród, mogli rychło wydzwignąć się z tego zacofania.

Nie zarzucili oni jednak, w każdym razie, myśli o przywróceniu w ich ojczyźnie demokracji. Wprawdzie takie demokratyczne instytucje, jak parlament (zamknięty już w 1969 r.) czy partie polityczne (od 1974 r., tak jak i związki zawodowe, mające zakaz prowadzenia jakiegokolwiek oficjalnej działalności), w warunkach

„CHWYTLIWA KWESTIA”

UKŁAD W SPRAWIE KANAŁU PANAMSKIEGO W OPINII AMERYKAŃSKIEGO SATYRYKA

Od kilku lat Amerykanie nie mieli do czynienia z jakąś naprawdę „chwytliwą” kwestią z dziedziny polityki zagranicznej. Nareszcie nadeszło coś, co obróci brata przeciwko bratu, rodzinę przeciwko rodzinie, konserwatyście przeciwko liberalowi, robotnika przeciwko studentowi i senatora Stroma Thurmonda przeciwko prezydentowi Jimmy Carterowi.

Kwestią tą jest oczywiście Kanał Panamski i walka just się rozpoczęła. Onegdaj wieczorem znajdowałem się w barze „Purpurowa Cebula”, gdy kwestia ta została gwałtownie podniesiona po wieczornym dzienniku.

„Do diabła — powiedział Planter — jeśli Panamczyk chce Kanału, to będą musieli być się o niego”. Ellstrom powiedział: „Niech sobie biorą ten przekleństw. Nadaje się on już tylko dla żaglowek”.

Na twarz Plantera wystąpiły wypieki. „Jak możesz tak mówić i nazwać siebie Amerykaninem? Kupi-

liśmy go, zapłaciliśmy za niego i umieraliśmy za niego”.

„To jest to, co ty wiesz na ten temat” — powiedział Ellstrom. „Ukradliśmy go Panamie i zmusiliśmy Panamczyków do podpisania traktatu, którego wcale nie chcieli”.

Widać było, jak u Plantera narastał gniew. „Nie nauczyli się tego w żadnej amerykańskiej szkole. Musiałeś to wyczytać w jakiejś komunistycznej gazecie. Kanał Panamski został zbudowany amerykańską krewią. 20 tysięcy naszych chłopców zginęło, aby połączyć Ocean Atlantycki z Pacyfikiem”.

„To nie byli amerykańscy chłopcy” — powiedział Ellstrom. „Większość z nich pochodziła z Indii Zachodnich i wynajęto ich, aby wykonali brudną robotę. My dostarczyliśmy tylko naszą wiedzę techniczną i pieniądze. Nie warto o to walczyć”.

Planter zawiął rękawy. „A ja jestem gotów o to walczyć. Otrzyma-

łszy Kanał Panamski na wieczność. Oznacza to na całe życie, czy też na zawsze, zależnie od tego, co nadejdzie najpierw”.

Barman McCarthy powiedział: „Nie chcę tu żadnych bojków w związku z Kanałem. Jak chcesz się bić, to możesz kupić sobie bilet do strefy Kanału i załatwić to tam”.

Ktoś próbował wspomnieć o drużynie Washington Redskins, ale Planter nie dawał się zbić z tropu. Zwrócił się do Ellstroma mówiąc: „Jak możesz spać w nocy wiedząc, że jakaś bananowa republika okupuje nasz Kanał?”

„Bardzo łatwo” — powiedział Ellstrom. „Gdybyś poczytał trochę na ten temat, to wiedziałbyś, że nie, co ma jakąkolwiek wartość nie może już tamteży przepłynąć. Nasze lotniskowce są za duże i większość tankowców przewożących ropę naftową nie może się tam zmieścić. Wspieramy jedynie grupę Amerykanów w strefie, wiodących życie Reilly’ego”.

Ellstrom nie zdawał sobie sprawy z tego, że Reilly był akurat obecny w barze. „Co takiego? Kto prowadzi mój żywot w Panamie?”

„Amerykanie, którzy tam pracują” — powiedział Ellstrom. „Musisz być raczej nieszczególne życie” — zaśmiał się Reilly. „Czy ktoś nie zechciałby postawić mi piwa?”

„Rezygnowanie z Kanału Panamskiego, to nie jest sprawa do śmie-

chu” — powiedział Planter. „Ja uważam, że jeśli Panamczyk spróbuje zabrać nam Kanał, to powinniśmy rzucić na nich bombę”.

Barman McCarthy powiedział: „Nie byłoby to zły pomysł. Przynajmniej poszerzyłoby to Kanał wystarczająco, aby mogły tamteży przepływać amerykańskie statki”.

Ellstrom obstawał przy swoim. „Nie mam zamiaru iść na wojnę z powodu Panamy”.

Planter powiedział: „Może ty nie, ale jeśli wielu Amerykanów, którzy poszliby. Teddy Roosevelt musi teraz przewracać się w grobie, wiedząc, że prezydent Stanów Zjednoczonych zamierza oddać największą w świecie zbudowaną przez człowieka drogę wodną”.

Nie chciałem wtrącać się do dyskusji, ale nie mogłem się powstrzymać. „Już dawniej wysuwałem kompromisową sugestię. Polega ona na tym, abyśmy zapelnili Kanał ziemią i oddali go Panamczykom w tym stanie, w jakim zastaliśmy go. Czy to zadowoliliby was obu?”

„Jest mi zupełnie wszystko jedno” — powiedział Ellstrom, popijając swego drinka.

Wszyscy zwróciliśmy się w stronę Plantera, oczekując jego reakcji. „Mógłbym na to pójść, ale najpierw muszę to uzgodnić z Ronaldem Reaganem”.

ART BUCHWALD

HANDEL ŚMIERCIA

Obecny wycięg w międzynarodowym handlu bronią osiągnął bezprecedensowy rozmach. Połowa światowego handlu bronią należy do Stanów Zjednoczonych, w 1976 roku sprzedały one za granicę broni za sumę 9 miliardów dolarów, przy czym największymi odbiorcami amerykańskiej techniki wojskowej były Arabia Saudyjska i Iran. Anglia wyeksportowała w ubiegłym roku broni za sumę 800 milionów funtów szterlingów. Przerazająca skala, jaką przybrał ostatnio handel bronią oraz jego zębne następstwa zaczęły się wyraźniej zarysowywać po procesach sądowych i skandalach, które miały miejsce w Waszyngtonie i w Paryżu. Podjęte śledztwa i toczące się procesy, zresztą jeszcze dalekie od zakończenia, ujawniają odrażające metody i zakulisowe machinacje amerykańskich kompanii lotniczych „Lockheed” i „Northrop”. Procesy te pokazują, w jaki sposób konkretny wywierają naciski, narzucając umowy na dostawy przeróżnych rodzajów broni, każdemu potencjalnemu nabywcy. Są to dozwolone wszystkie możliwe chwytły: przekupywanie urzędników, hojne odpłacanie usług całej armii agentów i pośredników, zakulisowa pomoc finansowa dla kół rządzących tego lub innego kraju.

Światowy obrót w handlu różnymi rodzajami broni osiągnął w ostatnich czasach sumę 20 miliardów dolarów rocznie. Przemysłowo rozwinięte kraje zachodnie, szczególnie podczas kryzysów ekonomicznych, są w dużym stopniu uzależnione od eksportu broni, stymuluje on bowiem szybki rozwój własnego przemysłu zbrojeniowego i produkcję najnowszych rodzajów techniki, a po wtóre sprzyja ożywieniu ekonomiki, zwiększeniu zatrudnienia w przemyśle. Sto lat temu spadek ekonomiczny w burzliwym rozwoju kolejnictwa pobudził takie koncerny, jak „Vickers” i „Krupp” do przestawienia się na produkcję i eksport broni oraz okrętów. Właściciele ogromnych fabryk i doków w Newcastle, Barrow i Essen bogacił się na sprzecznościach rozdzierających carską Rosję, Japonię, Chile i Peru. Obecny wzrost wycięgu w eksporcie broni coraz bardziej przypomina bezwzględna walkę konkurencyjną między koncernami Kruppa i Vickersa o światowe rynki zbytu.

Dostawcy broni, którzy dysponują ultranowoczesnymi fabrykami w Kalifornii, Bordeaux czy Chelmsford produkującymi nowoczesną technikę wojskową, znów żądają prawa do sprzedaży swojej śmiertelnej produkcji każdemu nabywcy, który dobrze zapłaci. Duże trudności w przemyśle lotniczym — podobnie jak niegdyś zmierzach ery kolei żelaznej — dają nowy impuls wycięgowi zbrojeń. Z kolei rządy krajów zachodnich, zanepokojone masowym bezrobociem i stagnacją w ekonomice, są coraz bardziej skłonne patrzeć przez palce na działalność handlarzy bronią.

Prasa światowa komentując przyczyny wciąż napiętej sytuacji na Bliskim Wschodzie podkreśla, iż Stany Zjednoczone i ich sojusznicy w tym rejonie świata dążą za wszelką cenę do wywołania i zdławienia wywołanych ruchów narodów arabskich i używają w tym celu wszelkich możliwych środków — nacisku politycznego, presji ekonomicznej, manewru kapitałami, groźby ingerencji wojskowej. Niedawne wydarzenia na granicy libijsko-egipskiej świadczą, iż kół imperialistyczne nie rezygnują z narzucenia swego dyktatu na tym obszarze kuli ziemskiej.

Rozpatrując wojskowe i polityczne konflikty, które miały miejsce w okresie ostatnich dwóch lat w Afryce i w świecie arabskim, zwróćmy uwagę na dwa ważne momenty: po pierwsze w tych wszystkich zbrojnych zatargach prowadzi się walkę, judząc Arabów przeciwko Arabom, lub Afrykanów przeciwko Afrykanom. Po drugie — militarne konflikty w Afryce i w świecie arabskim przybrały na sile i rozmiarach po wycofaniu się USA z wojny w Indochinach. Nasuwa się wniosek, iż celem tej polityki jest stworzenie niustannych ognisk napięcia w świecie arabskim, które mają pomóc do odciążenia mas narodowych od głównego celu: walki o niezależność polityczną i ekonomiczną, o likwidację reżimów monarchicznych i reakcyjnych, będących przedpołem ofensywy międzynarodowego imperializmu.

Zagraniczni dziennikarze akredytowani w Kairze zwracają uwagę, iż konflikt libijsko-egipski wybuchł kilka dni przed podróżą do krajów Bliskiego Wschodu sekretarza stanu USA. Swoim napadem na Libię egipski prezydent Sadat chciał pokazać Stanom Zjednoczonym, iż broni, o którą zabiegał Egipt w Waszyngtonie, ale której zresztą jeszcze nie otrzymał, skieruje nie przeciwko Izraelowi, lecz przeciwko Libii w celu „utrzymania równowagi w tym rejonie”. Minister spraw zagranicznych Libii, as-Salam Triki, powiedział, że „prezydent Sadat swoim atakiem na Libię pragnął pokazać Amerykanom, że może być ich najlepszym agentem w Afryce”. Z kolei administracja USA, demonstrując swoje poparcie dla linii polityki Sadata, poinformowała Kongres, że zamierza sprzedać Egiptowi bezpłatnie samoloty wywiadowcze, wojskowe transportowce „S-130 Hercules” oraz inny sprzęt wojskowy na ogólną sumę ponad 200 milionów dolarów. Koszty pokryje, jak się niedawno okazało — Arabia Saudyjska. W ten sposób zbankrutowany Egipt zbrci się na cudzy koszt i staje się wasalem Arabii Saudyjskiej. Zresztą Egipt jest już od dawna odizolowany od innych krajów arabskich i pozbawiony wpływów politycznych oraz ekonomicznych przywilejów.

Arabia Saudyjska jest wprawdzie bliskim sojusznikiem Stanów Zjednoczonych, ale stara się zachować jaką taką samodzielność i odgrywać

wśród krajów Bliskiego Wschodu wiodącą rolę regionalną. Po wojnie w 1967 roku Arabia Saudyjska zaczęła wierzyć, że to jej przypadła rola gwaranta zachodnich interesów w tym rejonie i zaczęła powiększać swój potencjał wojskowy, wynajmując amerykańskich specjalistów i kupując amerykańską broń. Dla Arabii Saudyjskiej, jako sojusznika USA, normalizacja sytuacji na Półwyspie Arabskim jest więc równoznaczna z diawieniem i likwidowaniem postępowych rządów i ruchów wyzwolenych. Użycie „broni naftowej” do dało Arabii Saudyjskiej wagi na arenie międzynarodowej i podniosło jej prestiż na Bliskim Wschodzie. Arabia Saudyjska zwiększyła swoje wpływy w krajach wrogo nastawio-

wania sowieckiej pomocy”, minimalizowania znaczenia pomocy, którą Związek Radziecki udziela Arabom. Wszelako największy nacisk kładą USA na przecignięcie na swoją stronę określonych sił socjalnych i politycznych działających w krajach arabskich i uczynienie z nich w tym rejonie swojej podpory, wykorzystując, jak mówi się w dokumencie, „obraz życia i światopogląd Arabów, z których wielu sympatyzuje z Zachodem”. Zgodnie z planem jego pośrednimi wykonawcami powinni być „wybitni działacze państwowi, oficjalni przedstawiciele państw arabskich... Otumanieni amerykańską propagandą, jej „niezbitymi dowodami”, niektórzy działacze państwowi, osobistości oficjalne, środki masowej

BLISKI WSCHÓD

W ŚWIETLE PEWNEGO DOKUMENTU...

nych do Izraela, a przede wszystkim w Egipcie, który, mimo jego słabości, jest najlepszym narzędziem saudyjskiej strategii. Egipt ma z kolei nadzieję, iż sojusz z Arabią Saudyjską pozwoli mu na rozwiązanie jego politycznych i ekonomicznych problemów.

Cały ten regionalny konglomerat jest częścią składową polityki, którą prowadzi w Afryce amerykańskie kóło rządzące, dążąc do narzucenia narodom arabskim reżimów podporządkowanych interesom USA. Jak podaje organ komunistycznej partii Iraku, „Tarik asz-Szaab”, redakcji pewnego arabskiego dziennika udało się zdobyć tajny dokument amerykańskiej Centralnej Agencji Wywiadowczej, który zawiera plan najważniejszych kierunków i aspektów działalności amerykańskich organów wywiadu i propagandy w rejonie Bliskiego Wschodu. Plan opracowano po arabsko-izraelskiej wojnie w 1967 r., ale jak wynika to z dokumentów, jest on nadal aktualny. Świadczy o tym rozwój w ostatnich latach aktywności USA na Bliskim Wschodzie i praktyka niektórych arabskich rządów, których działalność można wyjaśnić przesłankami wspomnianego planu.

Zaleca on amerykańskiemu wywiadowi i organom propagandy, aktywizowanie działalności w sferze osłabiania i likwidacji reżimów narodowo-patriotycznych, dążenie do rozbięcia narodo-wyzwoleńczych sił na Bliskim Wschodzie, starania o pogłębianie sprzeczności istniejących między krajami arabskimi, rozwalanie ich wzajemnej nieufności. Wiele u wagi w tym tajnym dokumencie CIA poświęca kwestii stosunków radziecko-arabskich, które rozpatruje się jako podstawową przeszkodę w urzeczywistnieniu amerykańskich zamierzeń na Bliskim Wschodzie. Nie przypadkiem przez cały ten dokument przewija się żądanie „izolowania krajów arabskich od Rosji i jej sojuszników, okazujących pomoc Arabom, rozbudzenie nieufności do sowieckiej polityki na Bliskim Wschodzie”, za wszelką cenę „dyskredyto-

informacji, prasa niektórych krajów arabskich uznali politykę USA za swoją własną i stali się jej tubą. Dokument o którym mowa zwraca szczególną uwagę na charakter argumentów, którymi powinna operować amerykańska propaganda. Nie zaleca się na przykład nadmiernej gloryfikowania i podnoszenia na piedestał Stanów Zjednoczonych Ameryki. Zaleca się natomiast wykorzystywanie „teorii supermocarstw, sugerowanie myśli, iż w sprawie uregulowania sytuacji na Bliskim Wschodzie między ZSRR i Ameryką istnieje tajemne porozumienie, którego treść jest znana tylko tym dwóm supermocarstwom”.

W cytowanym dokumencie stawia się zadanie dokonania gruntownych zmian w charakterze niektórych rządów Bliskiego Wschodu, obalania ich i tworzenia innych. Zdaniem autorów dokumentu to zadanie może być wykonane jeśli odciągnie się arabskie kraje od walki o odzyskanie terytoriów okupowanych przez Izrael i skierowanie wysiłków przywódców tych krajów na drogę „częściowego porozumienia dyplomatycznego”. Zdaniem postępowych kół arabskich praktyka wykazała, że właśnie taka polityka niektórych krajów arabskich „sprzyjała umocnieniu w nich pozycji sił prawicowych orientujących się na Zachód, odcierała przywódców od szerokiego mas ludowych, stworzyła korzystne warunki dla ofensywy reakcyjnej”.

Przywódcy niektórych krajów arabskich, którzy stoją na straży wielkiego biznesu i sami mają w nim udziały, trąbią na cały głos, że główne niebezpieczeństwo zagraża Bliskiemu Wschodowi rzekomo ze strony Libii, Etiopii, Angoli, Mozambiku. A przecież wojska arabskie przerzuciła się na granice Sudanu, Zairu, na terytoria Libii. I właśnie w ten sposób włącza się do „świętego sojuszu” walki przeciwko Arabiskim i afrykańskim ruchom narodo-wyzwoleńczym.

JERZY CZECH

WSPÓLPRACA KULTURALNA

Trwają już przygotowania do wielkiego święta radzieckich pisarzy i ich książek, jakim będą „Dni Literatury Radzieckiej”, które zostaną zorganizowane w naszym kraju w dniach 24 — 28 października br. Program „Dni” obejmie setki imprez w miastach i wsiach całej Polski. Będzie to kolejna okazja do przybliżenia naszym Czytelnikom doboru radzieckich autorów i wydawców.

Na uroczystości zapowiedziana swą przyjazd 40-osobowa delegacja Związku Pisarzy ZSRR. Radzieccy literaci odwiedzą Warszawę, Kraków, Katowice, Gdańsk, Poznań i kilka innych miast. Również w Łodzi będziemy gościć 12-osobową grupę pisarzy z kilku radzieckich republik. Będzie to dobra okazja do wzajemnych kontaktów pisarzy, tłumaczy i czytelników, forum do dyskusji o problemach rozwoju wspólczesnej literatury i jej roli we wzajemnym poznawaniu i zbliżaniu narodów.

Najnowszy dorobek ruchu wydawniczego ZSRR zaprezentowany zostanie na wystawach, a wśród nich na największej ekspozycji w Warszawie, obejmującej ponad 2,5 tys. publikacji. Wystawę książki radzieckiej — oryginalnej i w polskich przekładach — urządzone zostaną w bibliotekach, domach kultury, zakładach produkcyjnych, szkołach i wyższych uczelniach. Ekspozycje te zorganizowane w przededniu 60 rocznicy Rewolucji Październikowej w znacznym stopniu uwzględnią o-kolicznościowe publikacje. Jak również prezentujące współczesne problemy Kraju Rad. Także w tym okresie radzieckie książki będą bogato eksponowane w księgarniach, a „Dom Książki” z tej okazji ogłosił konkurs na najlepiej urządzoną witrinę.

* * *

Tradycje polsko - francuskich kontaktów, artystycznych i literackich sięgają czasów Renesansu, podróży Jana Kochanowskiego do Francji i jego znajomości z Ronsardem. Od tego czasu wymiana myśli literackiej była nie tylko żywa, ale i owocna. Dość przypomnieć receptę „Cyda” Corneilla w XVII w. i fakt, że Mollera grano w Polsce już za życia tego wielkiego dramatopisarza.

Dzięki długofalowej polityce wydawniczej, starannemu doborowi przekładanych dzieł do rąk polskiego czytelnika dotarły wszystkie najbardziej wartościowe i charakterystyczne dla piśmiennictwa francuskiego dzieła, w tym również najgłośniejsze pozycje literatury współczesnej.

Polska literatura piękna jest również stosunkowo często przekładana na język francuski. M. in. swa światową pozycję zawiązała Gombrowicz właśnie leżnym przekładem na język francuski. W ostatnich latach dużym zainteresowaniem cieszy się we Francji twórczość S. I. Witkiewicza. Ukazały się także przekłady Iwaszkiewicza, Parandowskiego, Schultza, Lema, Bratnego, Mrożka, Dobraczyńskiego.

Bogate tradycje współpracy istnieją również w dziedzinie teatru i filmu. Przypomnijmy tylko fakty z najbliższej przeszłości. O tym np. jakże więcej zajmuje w repertuarze polskich teatrów francuska dramaturgia, świadczy wymownie lezbza ponad 1000 premier autorów francuskich na scenach Polskiej Ludowej. Chociaż nie w tym samym stopniu, nad Sekwaną znane są również dzieła polskich dramaturgów. Prawdziwą karierę zrobiły tu prekursorskie dramaty Witkiewicza, znaną są tu Mrozek i Różewicz, wcześniej Rittner, Zapolska i Nalkowska. Również polskie teatry wielokrotnie prezentowały swe najlepsze osiągnięcia w Pańskim Teatrze Narodów. W tegorocznym sezonie Teatru Narodów kraj nasz reprezentował „Teatr Studio” Szajny ze spektaklami „Dante” i „Replika”. Jesienią br. wystąpił w Paryżu: Teatr „Cricot — 2” Kaptora z „Umarłą klasą” oraz Polski Teatr Tańca Conrada Drzewieckiego.

Od kilku lat pomyslnie rozwija się współpraca między kinematografiami Polski i Francji. Obejmuje ona nie tylko wymiane filmów, lecz także ich współprodukcje, które zapoczątkował polsko - francuski serial telewizyjny „Wielka miłość Balka”. W wyniku prac komisji mieszanej d.s. filmu ustalono, m. in., że odbywające się dotąd sporadycznie „Dni filmu polskiego” we Francji (i odwrotnie, francuskiego w Polsce) odbywać się będą w przyszłości co roku. Wielkość tej współpracy najlepiej ilustrują liczby. W latach 1945 — 1975 wyświetlono u nas 547 filmów francuskich, które obejrzało 637 mln widzów. Stawia to kinematografię francuską w naszej wymiarze międzynarodowej, na drugim miejscu, po radzieckiej.

W. SŁAWSKI

- WIZYTA O SZEROKIM ZASIĘGU
- PROPOZYCJE WSPÓLNOTY SOCJALISTYCZNEJ
- KANAŁ PANAMSKI: POWRÓT Z OPÓŹNIENIEM

Rozpoczęta w poniedziałek wizyta Edwarda Gierka we Francji ma, jak podkreślaliśmy (patrz w poprzednim numerze komentarz pt. „Żywe i rytmiczne kontakty”) nie tylko znaczenie dwustronne, ale również szersze. Otwiera niejako powakacyjny sezon w stosunkach Wschód — Zachód. Tym większe nia zainteresowanie, u-widaczniące się w komentarzach prasowych, audycjach radiowych i telewizyjnych. Stosunki polsko-francuskie, wyrosłe na długich tradycjach, są bowiem dzisiaj zasadnie uznawane za przykładowe. Ważne to, gdyż oba kraje zajmują wysoką pozycję w świecie i potrafią wpływać na postępowanie w dialogu między Wschodem a Zachodem. Dowiodły tego w niedawnej przeszłości przygotowania, a potem sam przebieg wszystkich faz KBWE.

Potrzeba dalszego postępu w od-

prężeniu jest niewątpliwa. Tym większa, że tu i ówdzie nie z naszej (tj. socjalistycznej wspólnoty) winy nastąpiły pewne zahamowania. Mamy tu oczywiście na myśli przede wszystkim częściowe ochłodzenie stosunków radziecko - amerykańskich, wynikające z opóźnień w rokowaniach SALT — II i kampanii w tzw. obronie praw człowieka.

Na tym tle dialog polsko - francuski ma dodatkowe znaczenie. I Polska i Francja dowiodły przecież wielokrotnie, że chcą dalszego odprężenia i dobrej współpracy.

Do jesiennego zasadniczego spotkania przedstawicieli sygnatariuszy Aktu Końcowego KBWE w Belgradzie już niedaleko. Rozmowy Edwarda Gierka z Valerym Giscard d'Estaing mogą wywrzeć dobitny wpływ także na przebieg tej ważnej konferencji.

Z frontu walki o rozbrojenie mamy do zanotowania nowy fakt. W Nowym Jorku trwają przygotowania do specjalnej sesji Zgromadzenia Ogólnego, która ma być poświęcona tej problematyce. Otóż delegacja ZSRR w imieniu 7 krajów socjalistycznych (w tej liczbie i Polski) przedłożyła dwa projekty zasadniczych dokumentów: projekt podstawowych zasad deklaracji w sprawie rozbrojenia oraz projekt programu działania w tej dziedzinie. Dokumenty te stanowią wykładnię naszego stanowiska na temat rozbrojenia. Przedstawiciel Polski — amb. H. Jaroszek podkreślił, że treść owych dokumentów pozostaje w zgodzie z żywymi interesami wszystkich państw, niezależnie od ich wielkości, położenia geograficznego i stopnia rozwoju społeczno - gospodarczego. Odzwierciedlają one bowiem podstawowe wymogi bezpieczeństwa wszystkich państw i uwzględniają naturalny związek między rozbrojeniem, bezpieczeństwem i społeczno - ekonomicznym rozwojem państw.

I trzeci temat — często w ostatnich dniach przewijający się przez lamy prasy: podpisanie traktatu amerykańsko - panamskiego o temacie Kanału Panamskiego. Końcowym efektem owego porozumienia będzie przejęcie pełnej kontroli nad kanałem w 1999 roku przez Panamę. Do tego czasu kraj ten otrzy-

mywać będzie od USA ok. 50 mln dolarów rocznie (zamiast 2 mln obecnie).

Wyjaśnijmy, że żądania Panamy szły dalej, ale sprzeciw niektórych kół w USA był tak wielki, że prawowity właściciel kanału musiał się zadowolnić rozwiązaniem częściowym. Sprawa Kanału Panamskiego jest pewnym problemem stosunków USA z ich latynoamerykańskimi sąsiadami. Waszyngton od dawna był pod naciskiem krajów tzw. trzeciego świata, które słusznie uważały, że dotychczasowy traktat ma charakter kolonialny.

Nowe układy zostały podpisane, ale musi je jeszcze ratyfikować Senat USA. Tymczasem narasta tam opozycja, ponieważ wielu senatorów przyzwyczało się już do kanału jako „własności” USA. Zapowiedziano zwłokę we wniesieniu tematu ratyfikacji, mnożą się „ostrzeżenia” niektórych senatorów pod adresem J. Cartera. Jako ciekawostkę podajemy, że w sukurs przyszedł mu zaproszony do pomocy były prezydent Ford.

JERZY WAURZAK

WEJŚCIE PRZEZ SEKRETARIAT

Prawie wszystkie popołudnia, wieczory, od przeszło dwóch lat spędzałem z Elizą. Zresztą od lat żyłem w ustalonym rytmie dnia. Po zajęciach na uczelni, później po pracy, jakiś czas objeżdżałem się po domu. Wziąłem na siebie też część nieskomplikowanych domowych obowiązków, żeby wyręczyć matkę. Tamci, ojciec i bracia — nawet jeszcze kiedy Franek mieszkał z nami — byli nieuchwytni, jeśli trzeba było przynieść wodę z ulicznego wodociągu, węgiel z komórek lub kosz ziemniaków z piwnicy, którą była jama wykopana pod deskami podłogi w kuchni. Czasami tylko, gdy szokowały się większe zakupy, chodziłem z matką na plac targowy.

Później już miałem czas dla siebie. Szedłem do akademika uczyć się razem z chłopcami lub do biblioteki ślezcęć nad skryptami, których nie wypożyczano do domu. Później jechałem tramwajem do Elizy, albo ona podjeżdżała wozem ojca pod uczeństwo. Wtedy zaglądaliśmy do klubów studenckich, najczęściej „Pod siódmką” w śródmieściu, do kina, rzadziej był to wypad do teatru, obowiązkowo zaś na każdą wystawę malarstwa, grafiki, gobelinów, karykatury — czego tam nie oglądałem, nie rozumiejąc za wiele lecz zapamiętując kibicując. Dość często przesiadywałem w mieszkaniu Elizy. Tam uczyliśmy się w jej pokoju pochyleni nad swoimi książkami lub wolni od wkuwania gapiliśmy się w telewizor w pustym zawyczajnym salonie.

Powiedziałem: mieszkanie Elizy, zamiast dom Elizy, czy dom jej rodziców. Pozornie nieważne to rozróżnienie. Mieszkanie Czerniewskich nigdy nie przypominało mi żadnego domu, według znanych mi pojęć. Co gorsze, do nich wszystkich, członków tej rodziny, nie miałem żadnego określonego stosunku. Trwałem w tym niezdecydowaniu przez miesiące. W żadnym momencie nie byłem z nimi, jednym z nich. Nie mogłem też zdobyć się na powiedzenie towarzystwu „żegnaj, do nie zobaczenia, nigdy — przenigdy”. Byłem do nich jakby w pół drogi, przeczuwając, że jest to kres możliwości, że ja nie uczynię kroku dalej, a im to ani w głowie, by przeciągnąć mnie poza tę zakleciętą linię.

Śmiech i rozpacz mnie ogarnia teraz, kiedy wspomnę, ile godzin straciłem na tych beznadziejnych medytacjach. Nie rozumiałem, że noszę w sobie kompleksy wszystkich rabów i proletariackich przodków, obawy, uprzedzenia, ordynarną zawiść i szlachetną złość. W swoim wyimaginowanym poniżeniu rozpięta mnie pycha, rodzila pogardę i wyniosłość z trudem skrywaną. Moja duma miała twardy grzbiet, obleczona w lichy garniturek z przeceny, płynęła jak na paradyżu w po trzykroć zelowanych butach i cerowanych skarpetkach. Z czułością wspominam tylko swoją nadzieję, pewność nawet, że im Elizę bezpowrotnie i do końca zabiorę, że nie biorąc nic, dam jej wszystko, co mężczyzna powinien dać kobiecie, że to, do czego ja, czy raczej my, razem dojdziemy, będzie inne, poza wszelką innością — prawdziwe, o smaku, jakiego oni nigdy nie doznali.

Cała ta niemożliwość, przynajmniej w planie czasu teraźniejszego, polegała głównie na tym, że straciłem głowę dla Elizy, nim ją poznałem. Chodziliśmy ze sobą dostojnie przez kilka miesięcy, nim zastąpiła mnie do środka tej kamienicy na Piotrkowskiej, pod którą zawsze kończyły się nasze wędrówki po mieście. Było

więc w jakimś sensie za późno, ale na całe szczęście spóźniłem się także o kilka pokoleń. Moi atenci mogli tę kamienicę wybudować, przewozić, wyposażać w gdańskie meble, dywany, tkane rękami moich sióstr — ale nigdy — przenigdy — przeniknąć do jej wnętrza w charakterze domowników. Ja nie tylko miałem tę szansę. Chciałem uczynić coś nieporównywalnie więcej: zabrać tym burżujom rozpartym w bogactwie i ludzkiej obojętności coś dla nich najcenniejszego — ich latorośli. Wiedziałem, że tak się stanie, osiągnę to zwycięstwo, jako naturalne ukoronowanie wszystkich upokorzeń i klęsk poniesionych na przestrzeni stuleci przez moich przodków. I nie dlatego, że historia jest sprawiedliwa, ale że my okazaliśmy się wytrwalsi, silniejsi, że wreszcie sami sobie wymierzamy sprawiedliwość.

— Próbowałem zgłębić — co to za ludzie. Ten krzepki jeszcze, wysoki, pewny siebie mężczyzna, patrzący przeze mnie jak przez powietrze, ta kobieta, wечно zaaferowana strojami i podróżkami, na przemian do Krynicy i Sopoty, te dwie śliczne, żywe i trochę postrzelone dziewczyny: prawie rówieśniczki z wyglądu, chociaż Monika była o dwa lata starsza i uparcie dążyła w ślady ojca studiując medycynę.

Nigdy mi się to rozpoznanie na dobrą sprawę nie udało. Ta próba ich poznania. Może dlatego, że sam byłem tolerowany w jakiś dziwny sposób. Uprzejmie, ale jakoś niepoważnie, jak nieunikniony epizod w życiu ich córki, kaprys, czy demonstracja niezależności. W przekonaniu, że przyszłość rozwiąże ten układ, a stworzy odpowiadający ich zamysłom, ich pozycji i tradycji szanowanej w Łodzi rodziny.

Od dawna wszystko było między mną i Elizą znane bez słów, ustalone. Byliśmy dla siebie stworzeni, złączył nas przyjaźny przypadek. Byliśmy właściwie małżeństwem bez zwyczajowych formalności. Reszta miała być później; uroczyście związek, dzieci, wspólny dom, wspólne przebieganie się przez życie, obrastanie w dobytek, dochodzenie do czegoś, czego właściwie wtedy jeszcze sobie dokładnie nie wyobrażałem, a teraz już chyba nie potrafię określić.

W żadnym przypadku, przynajmniej ja tak uważałem, nie mogło to nastąpić teraz, mimo iż byłem o krok od dyplomu, od tak dawna oczekiwanego przeskoku w samodzielne życie. Nie chciałem więc za żadną cenę (a raczej bez żadnej ceny, jeśli powiedzieć, że rezygnacja nie nie kosztuje) powiększyć tamtej rodziny. Z ciężkim sercem zostawiłem decyzję Elizie, Monice, ich matce, bo wkrótce wszystkie zostały wtajemniczone, wzywając sobie, że w tej sytuacji nie innego mi nie pozostaje.

Są w życiu momenty, do których wraca się niechętnie, kiedy ze wstydu płoną policzki i człowiek nie wierzy, że to historia z nim w głównej roli. Takim wówczas ja byłem antybohaterem. Matka Elizy oznajmiła mi decyzję: jeszcze studujemy, trzeba zrobić dyplomy, jesteśmy jeszcze za młodzi na dziecko, nie wiadomo, jak się między nami ułoży w przyszłości, chociaż ona nie wątpi, że będziemy wspaniałym małżeństwem. I tak dalej w tym stylu, poprzez hamowanie wściekłości i niewiści, która w innych warunkach powinna zabić. Przebiegało również w tych słowach rozczarowanie postawą własnej córki, (to łagodziło moją reakcję) za jej nonszalancję, z jaką traktowała własną przyszłość, ten dziwny upór, by tak bezrozumnie

przygnać do człowieka takiego jak ja.

Zgodziłem się, co już było czystą konsekwencją wcześniejszego umycia rąk. Wałęsałem się później bez celu po mieście, jak człowiek bez stałego adresu i zajęcia. Wmawiałem sobie, że moja zgoda nie miała już żadnego znaczenia, że decyzję podjęła moja żona — nieżona, ale z pewnością matka z płodem dającym pierwsze znaki życia w tonie. Oddalałem od siebie tysiące zarzutów, przytaczałem setki argumentów „za” ale i tak wychodziło w efekcie, że jestem tchórzem, bezwolnym manekinem w rękach tych trzech kobiet, że jestem głupim bezradnym sukkinsynem i zere.

I to uczucie pozostało, kiedy lekarze nie zgodzili się na zabieg. I małżeństwo stało się koniecznością. Tak jak to, co stało się w siedem miesięcy później ciężką karą, potrzebą odkupienia winy, a także zajęciem pretensją do tych, którzy uzurpują sobie prawo do decydowania o losie drugiego człowieka, do miażdżenia i przekręcania innych. Wtedy mogły się zmienić tak zasadniczo koleje mego życia, że aż ogarnia mnie przerażenie. Najpewniej najbardziej zwykle, szare, jałowe, ale spokojne, bezpieczne — do czego czasami tęskniłem nie przynajmniej się nawet przed samym sobą.

Można by te dwa fakty tak ogólnie skwitować. Jeszcze użalić się nad sobą, szczególnie przemilczec, przywalić je małym realizmem późniejszych przypadków. Ale zatwardziały ateus, boję się gniewu — powiedzmy, Bożego — albo prawdziwej, własnego sumienia, którego jak dotąd nigdy nie dało mi się usnąć. Chociaż wiele razy próbowałem je oszukać. W tamto wesele i tamtą śmierć także...

Niepokoi mnie, że myślę o tych dwóch faktach łącznie mimo ich przeciwstawnej natury, a właściwie zaprzeczenia. Ponadto dzieliła je siedmiomiesięczna rozpadlina czasu, kiedy to wesele już było mi w jakimś sensie przebaczone, a te rychłe narodzin miały już ostatecznie rozgrzeszyć tamto moje przestępstwo. A jednak są dla mnie czymś co następuje po sobie, właśnie jeśli nie łącznie, to tuż zaraz po sobie. Tak jak zazwyczaj w małych miasteczkach za parafialnym kościołem kilka kroków dalej znajduje się ukryty wśród drzew cmentarz, w naturalnym i symbolicznym związku umownych narodzin życia i prawdziwej śmierci. Więc i taka musi być relacja...

Z samego ślubu niewiele pamiętam. Byliśmy najpierw w urzędzie stanu cywilnego, gdzie jakiś zasuszony młody dukał swoje przepisy i kazal coś podpisywać; potem były tłumy w bazylice. Bolała mnie głowa od kadzidła, sztywniały nogi i kolana. Przedstawił Pana Boga na parafii mrucał coś pod nosem nad naszymi głowami, grały organy, chłopcy dyszkant ciągnął rozpaczliwie i przejmująco „Ave Maria”, organista prowadził nas za ołtarz z zapalonymi świecami. Tutaj na moment oprzytomniałem przed metalową puszką na ofiarę, bo w żadnej kieszeni nie miałem drobnych. „Cholera, powiedziałem do Elizy, nie dam przecieć całej stowy”. I nie dałem, chowając banknot z powrotem. Ale musisz mnie pocałować taki zwyczaj, zaśmiała się. Pocałowałem się jak na łące, długo, gorąco i wyszedłem już z za tego ołtarza bez tremy, oboje byliśmy tym wszystkim niezłe rozbawieni i dało się już przetrzymać cały ów cyrk życzeń w kościelnej kruchcie, naręcza kwia-

tów i ślinienie policzków. Miałem ochotę wyjść na powietrze, zapalić, usiąść gdzieś z Elizą na ławce pobliskiego skwerku, ale zaraz trzeba było jechać do fotografa.

Nie uratowało to nas do rytuału wejścia do domu, mimo iż przerwałem wieszadłem w większości przyjaciół Czerniewskich i kolegów Elizy. Wniosłem ją przez próg i pograżyliśmy się w chaos podochoczonego już towarzystwa, którym cały czas było gorzko, gorzko jak mnie na duszy słodko i lepko, bo niewiele pijąc znowu pograżyłem się momentalnie w poprzednią nieobecność.

Musiałem jednak słuchać, bo szły toasty, odwzajemniał się uśmiechami, cały czas mając w pamięci to, co powiedzieli nasi ojcowie. Profesor z przylepionym uśmiechem, z jakimiś rewerencjami pod moim adresem, z bezwiednie szczerym „Eliza nie mogła lepiej wybrać”, co mnie sprowadzało do właściwego wymiaru rekwizytu w granej tutaj sztuce, który jest niezbędny, ale nie może wpłynąć na bieg wydarzeń. A te wszystkie słowa na tle pokraśnianej twarzy mojej matki i zakłopotanej twarzy ojca, który wyczuł cały ten fałsz w słowach Czerniewskiego. I chociaż go nikt nie namawiał podnieść się ze swego miejsca i temu całemu oszukaństwu przeciwstawił kilka słów prostych, szczyrych jak on sam, prostych jak jego wzruszenie, które po ożenuk najstarszego syna ponownie przeżywał.

I na tym to cholerne wesele powinno się zakończyć. Goście porzucili się po pokojach, ci najdostojniejsi pili kawę i koniak w gabinecie doktora, studenteria szalała przy muzyce z magnetofonu, popijała w grupkach, nie było już żadnego składu ani ladu. Nawet lepiej, bo już nie musiałem celebrować swojej miny i sztywności pana młodego, a zabrać się spokojnie do jedzenia, bo od dwóch dni z wrażenia nie mogłem nic przelknąć.

Wszyscy jakby się dopiero teraz odnaleźli, każdy znalazł swoje miejsce. Moi starzy siedzieli w wiklinowych fotelach na werandzie i patrzyli z pewnym zdziwieniem na miasto znane im dotąd z innej perspektywy. Obok nich przycupnęła, jak zwykle nie odrywając się żona Franka, Władzia. Jego samego widziałem w głębi salonu, jak rozprawił z przejęciem z grupką młodych ludzi. Podeszedłem zaciękawiony bliżej. Intuicją tym razem zawiodła. Nie zareagowałem widząc, że już jest mocno podпиты. Zawiodło mnie rozbawienie całego towarzystwa. Teraz salwa śmiechu rozdarła powietrze, kiedy Franek kończąc widocznie jakąś opowiastkę, uniósł w górę pełną szklankę wódki i zaskandował: „Nic tak życia nie upiększy jak młoda dupa i jeden głębszy”. I klepnął po tyłku najbliższą stojącą dziewczynę.

Zmartwiałem, już chciałem do niego skoczyć i zawiłe go do któregoś z pokoi, żeby się przespisał i przetrzeźwiał, ale ubiegł mnie Marek. Gdyby go może zrużgał od góry do dołu ciężkim słowem, jak to się dzieje w naszej dzielnicy, może by się nic nie stało i Franek stuliłby uszy po sobie. Ten bęwał zaczął go osmiezać i zaraz popelił jeszcze gorzej błąd: podczas żywej gestykulacji położył mu rękę na ramieniu. Franek pewnie zrozumiał, że go chce chwycić za kark i wyprowadzić z pokoju i trzasnął go swą ciężką łapą w twarz, i poprawił z drugiej strony, kiedy ten padł na parkiet. Nim zareagowałem, chwycił go za koszulę, i w rękach zostały mu strzępy białej popeliny. I tak zniechęconym, z bydlęcym, nie rozumiejącym wyrokiem.

W tej chwili miałem go ochotę zabić i byłbym to chyba zrobił mając pod ręką siekierę albo coś w tym rodzaju. I nim się ocknałem z chwilowego zamroczenia, matka i Władzia już go prowadziły do wyjścia. Skoczyłem za nimi, ale słowa ze sobą nie zamieniłem nawet w korytarzu. Zdawało mi się tylko, że zarówno ojciec jak i matka patrzy na mnie z jakąś pretensją w oczach, jakby to ja był wszystkim winien.

Mieszkanie momentalnie się wyludniło. Eliza siedziała w salonie i plakala w koronkową chusteczkę. Zawróciłem do kuchni, skąd dochodziły podniesione głosy. Marek siedział na debowym taborecie już obmyty z krwi, w świeżej koszuli. Monika łagodnie mierzwiła mu włosy. Czerniewska nalewała jakiś płyn do szklanki, pani Stasia stała z boku z mokrym ręcznikiem. Spojrzałem na mnie jednym okiem, bo drugie było wąską sparką. Wyglądało jak pęknięta fioletowa pieczęć.

— To bydlę — zasycał urywanym ze wściekłości i wstydu szeptem — bandziora przyprowadziłeś do porządnego domu.

Na oczy spadła mi czerwona plachta, ale jakoś się opanowałem. Ten drań, mój braciśzek, rzeczywiście zmasakrował mu twarz, ale przecieć mnie jakby wsadził nóż między żebra. Tylko żaden taki, panie doktorze, to nie takie proste. Jak jeszcze powiesz jedno słowo, to zrobię z cie-

bie mokrą plamę.

Wróciłem do Elizy, już nie chlipała tak zapamiętale. Usiadłem obok niej na kanapie, objąłem ją ramieniem. Ciężko mi było na duszy nie z powodu tego co się stało, lecz że nie wiedziałem co powiedzieć, jak ją pocieszyć, przywrócić do normalnego stanu.

— Nie przejmuj się tym, nic nam to nie pomoże. Rozpedził nam, sukkinsyn, wesele — westchnąłem — coś mu się pewnie popieprzyło w lepetynie, myślał, że bawimy się na Stawowej.

Ku mojemu zdumieniu i ogromnej uldze Eliza roześmiała się przez izer i przycisnęła się do mojej piersi. Na to jakbym czekał, bo już bez zastanowienia szarżowałem:

— Teraz na pewno, wiem, kochanie, że wesele się udało i będziemy „żyć długo i szczęśliwie”.

Musiałem to jednak powiedzieć zbyt markotnym głosem, bo Eliza z kolei wzięła na siebie rolę pocieszycielki:

— Ten Marek, to cholerny typek, działa ludziom na nerwy. Ktoś mu wreszcie musiał dać nauczkę.

Włączyłem magnetofon i zaczęliśmy wirować w walcu, nie zwracając uwagi na rząd oburzonych, pobladłych twarzy w rozsuniętych drzwiach salonu, jakbyśmy nie mieli z nimi nic wspólnego.

A teraz, gdy patrzę z dziesięcioletniej góry czasu na ten nasz taniec, to widzę tamtą śmierć na pierwszym planie. Wiem, niczego tak nie jestem pewien, że w tym wirowaniu staliśmy absolutną jedność, osiągnęliśmy szczyt, dokonaliśmy tej sztuki, która się raz jeden w życiu udaje. Wcześniej była tylko łatwa radość, potem żalonne, coraz większe kręgi oddalenia. To było apogeum naszego wspólnego lotu, czystego, doskonałego szybowania.

To wiem teraz dopiero, podobnie jak z tej góry dziesięciolecia widzę tamtą śmierć, jej ostatni akord. Nic ze wcześniejszych szczegółów, które są bardziej domysłem. Tak są właściwie wytworem fantazji bo Eliza nie chciała mnie widzieć. Ten jej zakaz był albo tchórzostwem, ale najpewniej aktem litości wobec mnie. Uchroniła mnie raczej przed sprzeczaniem, którego nie byłem pewien. To znaczy byłem pewien, że tych trzech szpitalnych pięt — nie pokonam o własnych siłach i z własnej woli.

Tak, że to dziecko pieli męskiej, właściwie nie narodzone, zapakowano mi do filigranowej jak biała, emalowana szkatulka trumienki. I z tym ciężarem, pod którym uginały mi się nogi, wyszedłem przed klinikę, gdzie stał ojciec, który bez słowa, unikając nawet spojrzenia w moją stronę, szedł obok mnie przez całe miasto na cmentarz, gdzie postanowiliśmy pogrzebać to ciało niewiele większe niż dwie złożone pięści.

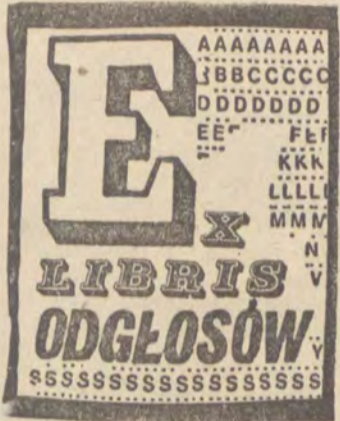
Na miejscu staliśmy chwilę, dalej nie patrząc sobie w oczy, nim nadszedł grabarz, stary, cuchnący wódką, zaroił się siwą szczeciną. Patrzył chwilę na nas spode łba. Nie nie rozumiał widząc że trumienkę — szkatulkę, żadnego ludzkiego korowodu, księdza z kropidłem. Jego zapadłe, zmętniałe od alkoholu oczy widziały wszystko, tylko nie widziały takich dwóch mężczyzn, ojca i syna nie patrzących na siebie i znajomego kształtu na barkach młodszego, trumny o nierealnych małych rozmiarach.

Wziął wreszcie za łopatę i zaczął kopać. Stary jednak nie wytrzymał. Wyrywał mu ją z ręki, odepchnął na bok i zaczął ze wściekłością ryć ziemię. Jego ruchliwa twarz, teraz po czerwieńczeniu z wysiłku, zdawała się wyczyniać, harce między niebem a ziemią. Patrzyłem na niego, stałem w miejscu, z trumienką już u stóp, a jednocześnie cały czas szedłem ulicami swojego miasta, kroczylem alejkami tego cmentarza, widziałem się w kilku planach naraz, młody człowiek, a już starco pod tym ciężarem przygarbiony, sunie w dwuosobowym kondukcje do miejsca nie swego przeznaczenia, ale do jakiegoś punktu, w którym cząstkę siebie na zawsze utracił. Tylko grudy ziemi, wyrzucone z dołu, mając ten obraz dwuosobowego konduktu, nad którym nie unosi się szloch, a tylko strasne milczenie. Łzy jednak duszą i odbieram ojcu łopatę.

Teraz on trzyma wargę, a ja ryję w ziemi, aż kiedy wytrzeźwiał już grabarz każe mi wychodzić i usituje w tym nawet pomagać. Rzucamy glińnaste grudy, ja pierwszy potem ojciec. Patrzymy jak rośnie mały kopyczyk, oklepywany łopatą. Potem stary u wozu grobu wbija kij z białą szkatulką i krótkim napisem, który nie nie oznacza, ma wartość tylko zużytej nań farby.

— Siada! — mówi ojciec i daje przykład. Grabarz już zniknął po zainkasowaniu pieniędzy. Siedzimy na czymś grabowcu z granitu. Ojciec wyciąga butelkę, odbija dłońmi korek i podaje mnie pierwszemu. Pije, potem on, podajemy sobie tę butelkę jak w sztafecie. Palimy papierosy i płacemy bez lez.

(cdn.)



POLSKA

W piątym roczniku... W piątym roczniku...

wszystkim historykiem. Swoje renesansowe pióro angażował...

Marcin Kromer „Polska”, Wyd. „Pojezierze”, cena 60 zł.

RZECZPOSPOLITA POLAKÓW

Edmund Jan Osmańczyk, urodzony na Dornym Śląsku, w latach 192-1930...

Edmund Jan Osmańczyk „Rzeczpospolita Polaków”, PIW, cena 30 zł.

SŁONCU RADZI

Staraniem Towarzystwa Przyjaciół Polsko-Radzieckiej w Skierniewicach...

„Słońcu radzi” — Strofy poetów Ziemi Smoleńskiej. Wyd. TPP-R i Urząd Wojewódzki w Skierniewicach.

HASŁO — POLSKA

Polska Agencja „Interpress”, znana z ciekawych — a co ważniejsze — potrzebnych publikacji...

„Hasło — Polska”, Wyd. „Interpress”, cena 5 zł.

WYPISY ŁÓDZKIE

ZYGMUNT MANITIUS

ŁÓDZKI ROK 1914

Pierwszy świadek wojennych wydarzeń — samochód osobowy z Kalisza, Sierpień 1914...

Przed cukiernią Roszkowskiego gazerlarze, dorożkarze i tłum ciekawy...

3 grudnia „Nowy Kurier Łódzki” podaje wiadomości z okolicznych pobojowisk...

Wojska rosyjskie znów w Łodzi. Na Nowym Rynku (Plac Wolności) spleszony dywizyjny kozaków...

ZYGMUNT LORENTZ

NARODZINY ŁÓDZI NOWOCZESNEJ

W r. 1850 wartość towarów bawełnianych wyprodukowanych przez 6 tysięcy pracowników...

Miasto zajmowało około 150 wólk i ciągnęło się 5 kilometrów. Na takiej przestrzeni wznosiło się 1.200 domów...

przełom i słupków okalających Rynek. Nowomiejska, Ogrodowa, Konstanyńska...

Wieczór. Deszcz ze śniegiem. Na Geyerowskim Rynku (Plac Reymonta) w wylotu nie oświetlonej Rzgowskiej...

Żuławski w Łodzi. Przed wystawą sklepową brać Szwalbę, w niedzielę, przy ładnej pogodzie i dużym ruchu...

Na Wodnym Rynku — punkt opatrunkowy. Ze szpitala Anny-Marji (dzisiaj szpital im...

Korczaka) co pewien czas wynoszą trupy i kładą na roważy. Most kolejowy na Włodzkiej (dzisiaj Kilińskiego) zbombardowany...

Żuławski w Łodzi. Przed wystawą sklepową brać Szwalbę, w niedzielę, przy ładnej pogodzie i dużym ruchu...

Legionści. Łódzianin kiwa głową z politowaniem. Młodzież ogłada z zaciekawieniem. Pensjonarki — z przejęciem...

Bitwa pod Łodzią była jedną z największych bitew pierwszej wojny światowej i trwała od 17 listopada do 6 grudnia 1914 roku...

Żuł w pierwszej połowie listopada 1914, miasto poczęło obiegać pogłoski, że „Niemcy idą”, by znów, to jest po raz trzeci w tym półroczu wojennym — zająć miasto...

Skoro zaświtał dzień 18 listopada 1914 okazał się grom armat, rozdzwołyły się okienne szyby, zadętoły odrzwia, zatrzęsły się mury kamienic...

Można było obserwować z wysokich gmachów jak Grand Hotel, Savoy i inne — jak okoliczności: Tuszyn, Rzgów, Brzeziny, Kuluski, Widzew, Zarzew i Chojny tworzyły krwawą, luną pożogi owiane linie ognia i bitew...

Około 25 listopada kanonada uciechła — Niemcy zostali odrzuceni. Tegoż dnia pojawiły się oddziały konwojujące jeńców niemieckich...

Rankiem 30 listopada wstrząsnął miastem huk jakby walących się świątów. Poeciaki zaczęły padać w centrum miasta...

„Giewont” 1928

P. S. Zygmunt Manitiusz był znanym w Łodzi drukarzem. Jego Zakłady Graficzne mieściły się przy ul. Żeromskiego 87...

na wschodzie Wodnym Rynkiem, przy którym zakwitał zielenią i kwieciami park angielski zwany Źródłiskami...

Na tej ogromnej przestrzeni jak w odcieniu na wyrost, przy błotnistych ulicach, w domkach stereotypowych pracowały pionierzy-fabrykanci...

Obok pracowników włókienniczych różnego pokroju (z taśmienkami i półkoszyczkami) włącznie) tudzież farbiarzy, pracowała liczna grupa najrozmaitszych rzemieślników...

Wiktusdy kupowało się na targach: ale w tym okręgu wielu osad fabrycznych dowóz był stosunkowo mały...

Ulica Główna kończyła się

11, 100 uczniów), 7 szkół ludowych (w nich 750 uczniów) i dwie szkoły niedzielne. W za roku znajdowała się kasa oświeceniowa...

Życie towarzyskie ogniskowało się w cechach, najokazalszym terenem w tym względzie był murywany Dom Majstrów — Meisterhaus, cukiernia, kawiarnia, szereg szynkowni i 7 jazdów dopełniających obrazu tego żywego miasta...

Las uciekał coraz dalej. Trzeszczały furgony na bitych traktach do Włocza i Rolician — do stacji kolejowej. W miasteczku ustawiczne budowanie, ustawiczna krzątanina, brzęk złota, turkot maszyn i niemożna nadmierne ludzkiego wysiłku...

Zygmunt Lorentz, profesor Gimnazjum Miejskiego w Łodzi, urodzony w Zgierzu, zamordowany w dniu 5 października 1943 roku przez gestapo...

Wybrał: HENRYK RUDNIKI

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

CO NAM ZOSTANIE ZE STAREJ ŁODZI?

Kiedy oglądamy kolekcje starych fotografii dokumentujących oblicze starej Łodzi, stwierdzamy ze smutkiem, że coraz mniej zostaje śladów dawnego miasta. Padają pod ciosami łomów stare kamienice i fabryki, na planie Łodzi odnajdujemy wciąż nowe ulice, a i te stare wyglądają dziś też zupełnie inaczej...

Czy jest to powód do załamania rąk? Myślę, że nie. Miasto nie jest skansenem, żyją w nim ludzie lat siedemdziesiątych i to miasto jest dla ludzi zbudowane i budowane — nie dla potrzeb jakiegoś wymaganego muzeum. Możemy się więc zadumać nad fotografią starego tramwaju z lat dwudziestych, ba, możemy się nawet tą fotografią wzruszyć, ale czy chcielibyśmy dziś jeździć po Łodzi tamtymi tramwajami?

Pewno, że szkoda niektórych starych domów — choć dziś nie chcieliby w nich mieszkać ludzie lat siedemdziesiątych. Ale z pewnością można by w niektórych starych budynkach fa-

brycznych czy starych kamienicach (po odpowiedniej modernizacji) lokować jakiegoś klubu, galerię plastyczne, kawiarenki, sklepy z pamiątkami... Wiem, że nie zawsze jest to możliwe, nie zawsze wskazane z przyczyn ekonomicznych — ale też często żal o tych burzonych zabytkach przeszłości, nawet jeśli nie są to zabytki w rozumieniu przepisów konserwatora miejskiego.

Refleksje te naszyły mnie na wystawie fotograficznej Mirosława Wojalskiego, wystawie, której tytuł zapożyczyłem sobie do tego felietonu. Wojalski jest autorem i posiadaczem ogromnej kolekcji fotograficznej dokumentującej Łódź, która odegrała w przeszłości. Zdzisław Konicki, autor wstępu do katalogu wystawy, prezentowanej w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki pisze o Wojalskim, że sprostał trudowi pokazania urody miasta. Urody, którą zwyczajowo nazywamy „trudną urodą” („Kocham twój urodę złą” — jak pisał o Łodzi Julian Tuwim).

A przecież uroda Łodzi jest oczywista i niewątpliwa, choć na pewno specyficzna — i nie raz trzeba być poetą, aby ją dobrze podpatrzeć i odczytać. Pisze Konicki: „Zdjęcia te mają wymowę dokumentu epoki, przemian, mijającego czasu, budowy „drugiej Łodzi”. Pamiętamy, że każdy fotograficzny przyczynek ma po latach rangę dokumentu historycznego, archiwalnego”.

Autorem wystawy, podobnie jak organizatorem, chodziło o zachowanie krajobrazu ulegającego przemianom, obiektów znikających z tego krajobrazu na skutek stale zachodzących zmian w życiu miasta. Chodziło zresztą nie tylko o utrwalenie dorobku przeszłości, ale i o kształtowanie w nas postawy obywatelskiej — świadomości owych przemian.

W tej samej salice MPIK była swego czasu wystawa fotografii z kolekcji Zdzisława Konickiego — uratowane cudem resztki różnych rodzinnych albumów z lat 1900—1939. Wystawa Mirosława Wojalskiego

tworzy — łącznie z tamtą — jakiś wspólny rozdział fotograficznej dokumentacji dziejów Łodzi. I to rozdział niezwykle ważny.

Ludzka pamięć jest zawodna, literacki i dziennikarski zapis także nie zawsze odda klimat minionych lat. I tylko dzięki fotografiom jawią się przed nami nie istniejące już domy, ulice, ludzie, tramwaje i sklepy.

Wystawa prac Mirosława Wojalskiego, jak stary film, pokazuje nam autentyczne obrazy miasta, które odchodzi i po którym pozostaje już tylko pamięć. Na pytanie postawione w tytule ekspozycji: „Co nam zostanie ze starej Łodzi?”, może najwłaściwą odpowiedzią będzie taka właśnie: „Zostanie nasza pamięć”.

Wbrew pozorom nie jest to mało. I właśnie sprawie owej pamięci i starej Łodzi dobrze służą takie wystawy — pełne zadumy i czulej troski o odchodzącą przeszłość miasta.



WIDOK

Foto: M. Wojalski

NIE TYLKO HISTORIA

POLITOLOGIA GDZIE INDZIEJ

Kiedy przed niewielu laty wprowadzaliśmy nauki polityczne do naszych wyższych uczelni, przystępowaliśmy do tworzenia różnych politologicznych placówek naukowych, niektórym zdawało się, że dokonujemy jakiejś rewolucji. Był to jednak sąd najzupełniej mylny. Można by raczej powiedzieć, że uczyniliśmy wówczas nie rewolucję, ale nieco bardziej energiczny krok na drodze, mającej nas zaprowadzić do odrobienia założeń, jakie mieliśmy w porównaniu z innymi krajami w tej jakże ważnej dziedzinie badań. Mało kto bowiem wie, jak przedstawiają się one dziś w świecie, jakie jest ich miejsce w strukturze i badaniach nauki i szkolnictwa wyższego w wysoko rozwiniętych krajach naszego globu. Właśnie tam konsekwentnie, przetrwała gdzie indziej, zerwano z przestarzałą tradycją uprawiania na wyższych uczelniach jedynie badań, jak najdogłębszych od spraw polityki. Stało się tak dlatego, że polityka dzisiaj nie może już opierać się tylko o północną wiedzę o świecie,

czerpaną z kilku obcojęzycznych dzienników i fachowych periodyków, że współczesnym politykom przestało wystarczać to, co mogą im powiedzieć ich inteligentni i wyszkoleni doradcy.

Czytam właśnie radziecką książkę politologiczną pióra Władimira F. Pietrowskiego, zatytułowaną „Amerykańska myśl zewnętrznopolityczna”, wydana w zeszłym (1976) roku przez wydawnictwo „Siosunki Międzynarodowe” w Moskwie. Autor omawia w niej prowadzone w Stanach Zjednoczonych badania politologiczne w dziedzinie polityki zagranicznej, skupiając swoją uwagę przede wszystkim na ich treściach. Przy okazji jednak poświęca wiele uwagi organizacyjnej stronie tych prac, przytaczając bogaty zasób informacji o współczesnej amerykańskiej politologii.

Problematyka politologiczna znajduje się w Stanach Zjednoczonych w centrum uwagi różnych organizacji naukowych. Szczególnie wiele miejsca zajmuje ona w zainteresowaniach roz-

małych tworzonych przez wielki kapitał fundacji naukowych. Podług oficjalnych danych było ich w połowie lat sześćdziesiątych aż 15 tysięcy, pod koniec 1971 r. zaś już 26 tysięcy, zaś kapitał którym dysponowały przekraczał sumę 20 miliardów dolarów. Oczywiście nie wszystkie fundacje były i są sobie równe: liczą się przede wszystkim największe, takie jak fundacja Forda, R. W. Johnsona, Rockefellerera i inne. One to właśnie przeznaczają znaczną część swoich środków na finansowanie najrozmaitszych badań politologicznych. Taki właśnie charakter miał program badawczy, finansowany przez fundację Forda w latach 1952—1965, który kosztował 206 milionów dolarów i obejmował 47 problemów badań regionalnych, prowadzonych w 24 amerykańskich uniwersytetach, wspomaganych przez 135 kolegów.

W 1970 r. fundacja subsydiowała najrozmaitsze programy międzynarodowe, przy czym największe środki pochłonęły regionalne badania Azji i krajów Oceanu Spokojnego — prawie 18

milionów dolarów — dalej Afryki i Bliskiego Wschodu, Ameryki Łacińskiej i innych stron świata. O rozmiarach powiązań nauki z wielkim kapitałem świadczy, że fundusze pochodzące od Narodowej Asocjacji Przemysłowców dochodzą do 80—90 proc. środków budżetowych, którymi dysponują wyższe uczelnie, a bardzo wiele z nich przeznaczane jest na badania o charakterze politologicznym. Oprócz środków, pochodzących od wielkiego kapitału, na prace te przeznaczane są również znaczne sumy państwowe.

O rozmiarach prowadzonych w Stanach Zjednoczonych prac politologicznych świadczy, że tylko w 1970—1971 r. na badania, poświęcone problemom Związku Radzieckiego wydano tam 59,8 milionów dolarów, przy czym około 47 milionów przypadło na uniwersytety. W latach pięćdziesiątych w 68 uniwersytetach amerykańskich obroniono 600 prac doktorskich, poświęconych różnym zagadnieniom Związku Radzieckiego, z czego 275 dotyczących historii ZSRR. W latach

1960—1964 prac doktorskich o tematyce radzieckiej było już 400. W 1972 r. liczba studentów, kształcących się w problematyce Związku Radzieckiego i krajów Europy Wschodniej, wyniosła 12 tysięcy osób, przy czym 3 tysiące uczyło się języka rosyjskiego. W 1967 r. działało w Stanach Zjednoczonych 13 wyspecjalizowanych instytutów, zajmujących się krajami socjalistycznymi oraz ruchem komunistycznym i robotniczym. O tym, w jakim duchu prowadzona jest większość tych prac świadczy podany przez radzieckiego badacza fakt, że na 262 amerykańskich „sowieologów” jedna trzecia to emigranci z krajów socjalistycznych, z których 3/4 odebrało wykształcenie w latach „zimnej wojny”, a 1/6 pracowała uprzednio w jednej z amerykańskich służb wywiadowczych, propagandowych czy instytucjach o charakterze wojskowym. Problematyka radziecka stanowi szczególnie ważną, jednakże tylko część zainteresowań amerykańskich badań politologicznych, dotyczących zagadnień polityki międzynarodowej. Podług urzędowych danych szcze-

gólnie poczesne miejsce zajmują w tych pracach problematyka chińska, którą zajmuje się 20 wyspecjalizowanych ośrodków. W latach 1958—1970 na prace te przeznaczono sumę ponad 40 milionów dolarów, przy czym 50 mil. aniżeli przedtem przez całe ćwierćwiecze.

Przytoczone przez W. F. Pietrowskiego dane, pochodzące ze źródeł oficjalnych, ilustrują intensywność amerykańskich prac politologicznych, dotyczących zagadnień międzynarodowych. A przecież nie wyczerpują one całości obszaru zainteresowań politologii! W każdym jednak razie dają nam wyobrażenie o tym, jak wielką przywiązuje się do nich wagę, skoro przeznaczają się na nie tak ogromne środki. Bo przecież pieniądze — zwłaszcza dużych pieńędzy — nie wyrzuca się w błoto, a przeznaczają na rzeczy, które w ten czy inny sposób mogą się okazać potrzebne. Środki przeznaczane na badania politologiczne w Stanach Zjednoczonych zaś świadczą, że są one uważane — nie bez podstaw — za szczególnie potrzebne w aktualnej rzeczywistości współczesnego świata.

ANDRZEJ F. GRABSKI

LEWYM OKIEM

O WDZIEKU PESYMYSTYCZNIE

Daniel Passent nawołuje w „Polityce” do ogłoszenia plebiscytu wdzięku. Wielkie nowoczesne hotele — twierdzi Passent i oczywiście ma rację — nie mają za grosz tego wdzięku, jaki miałyby staroświeckie, przytulne hoteliki. Niech wszędzie kwitnie różność i barwność, a wnętrza i ludzie będą cieplejsi — pisze. I pisze też, że zamiast wielu małych pawilonów w Rucianem należało zbudować parę dużych domów, to może byłby w tym wdzięk. Czyli okazuje się, że hotele powinny być małe i liczne, a pawilony duże i nieliczne. Jest w takim piśniu wdzięk, a o to właśnie chodziło. Mianowicie wdzięk niekonsekwentny.

Napisalem to bez nadmiernej złośliwości w zamyśle, bo naprawdę to uważam za groźnych ponuraków, takich facetów, co to raz wymyśliłi sobie jakąś sterylnie czystą miarke i przymierzają się z nią do wszystkiego: do obyczaju, do kształtu parasola i do rozkładu jazdy. Skoro jednak mowa o zjawiskach dość jednorodnych, jak w tym wypadku o budownictwie, to już by raczej należało zająć jakąś pozycję oceniającą. Cóż by tu więc powiedzieć o wdzięku, żeby nie być ponurakiem, a jednocześnie żeby nie wpadać w sprzeczności?

Trzeba by chyba zacząć od tezy, że wdzięk jest atrybutem rzeczy małych i nie można go niestety szukać w megarzeczach, w gigantach. Pomnik bitwy narodów w Lipsku i pomnik powstańców w Katowicach nie są wdzięczne, za to łeż wdzięku posiada brukselski Maneken-Plas czy Złotych Głęb w Halle! Te małe można lubić i siedzieć przy nich godzinami z twarzą ku słońcu. Bo są małe, są w przyswajalnym, bezpiecznym stosunku do wymiarów naszych ciał, a więc do naszych proporcji uczuciowych. Nie wierzę w możliwość zachowania analogicznych efektów w odniesieniu do Sfinksu i Piramid, do trzydziestopiętrowych bloków mieszkalnych i osiedli zbudowanych z klocków o kilometrowych rozmiarach. Nie mogę tylko nie uznać konieczności wnoszenia takich bloków. One muszą powstawać, eliminując źródła wdzięku z całych kilometrów sześciennych naszej przestrzeni życiowej, ale przecież z tym większą gorliwością powinniśmy udzielać to wszystko małe i poręczne, co jeszcze takim zabiegiem się poddaje.

To właśnie z takiego założenia wychodząc wchodzi tu niejedyn raz z turpizmem w sztuce, czyli z kultem brzydoty. Brzydota może być czynnikiem przeżycia estetycznego,

jeżeli ma siłę wzbudzenia protestu, jeżeli podkreśla sobą — przez prosty kontrast — piękno otaczającego ją świata. Takiego zadania nie spełniają w moim odczuciu strzępy porzucanego żelastwa, ustawione wzdłuż niektórych ulic Warszawy i innych miast jako abstrakcyjne ozdoby plastyczne. Te czarno-bure blachy, prety i kłębki drutów są gorsze od plansz reklamowych wzdłuż Trasy Łazienkowskiej, o których wspomina Passent. Na szczęście zresztą tych plansz jest mniej, niż owego cementarnosmiętnikowego żelastwa.

Niech wszędzie kwitnie różnorodność i barwność, a wnętrza i ludzie będą cieplejsi. Wolę dziesięć pawilonów w Rucianem, bo ich wielość daje szansę różnorodności i barwności. Zbudowanie jednego gmazyska z całym parterem sklepowym, upodobni Ruciane do Krynic, z której resztki wdzięku uciekają w popłochu lub kryją się w staroświeckich, walących się relikwach wzdłuż deptaka. Jest w Krynicy potężna Hawana, ale wolalibym zamiast niej tuż obok małych kawiarenek, wśród których może doszukiwałbym się odpowiadającego mi genre'u i nazwałbym go wdziękiem. W Hawanie mogę liczyć tylko na decybele kapeli i na godzin-

ne wyczekiwanie na kelnerkę, zziłaną przebywanymi odległociami.

Masserowanie w wielotysięcznym tłumie daje wielu ludziom jakieś szczególne satysfakcje; osobliwie wolę kameralną rozmowę w gronie kilku przyjaciół. I niech przy tym gra cichutko muzyka, zamiast wsieklego dudnienia, bez którego nie mogą się już obejść ludzie o krótkich biografiach, czyli młodzie. Oni kochają wielkie spędy i wielki hałas. Ja ciszę i refleksję, rozmowę i nastroj. Oni wycie przez ogłuszające gigantofony, ja prawdziwy śpiew ludzkim głosem, nie sztukowanym trzymanym przy zębach mikrofonem. Oni ciągłą, stopniowaną aż do nerwicy ekscytację, ja chyba to, co Passent nazywa wdziękiem istnienia. I kto wie, czy nie zaczynam być przeżytkiem. Kto wie, czy wdzięk — ton właśnie w passentowskim znaczeniu — nie przestaje być wartością poszukiwaną, potrzebną, możliwą... To jest stwierdzenie pesymistyczne? A no jest.

ĆWIEK

SATYRA



ANDRZEJ GRUN